



Do naszych Czytelników.

Pismo nasze obchodzi dziś dzień zaszczytny, i nie możemy pominąć tej sposobności, by nie przemówić do naszych Czytelników, którzy to wydawnictwo od pierwszej chwili z całą życzliwością powitali i dotąd najszczerszym swym udziałem wspierają.

Z dniem dzisiejszym rozpoczyna „STRZECHA“ trzeci rok swego istnienia. Czas to wprawdzie nie długi, ale w rocznikach naszego dziennikarstwa zawsze tak znaczny, że nam wolno z niejaką chlubą mówić o powodzeniu, jakim poszczycić się może to wydawnictwo po tak krótkiem stosunkowo istnieniu. Bez przechwałki możemy śmiało powiedzieć, że pismo nasze stoi w pierwszym rzędzie między wszytkimi innymi tego rodzaju.

Z całą ufnością przystępowaliśmy do założenia „STRZECHY“, i byliśmy tak szczęśliwi, że nadzieje nasze zostały najzupełniej usprawiedliwione; dlatego też korzystamy z tej sposobności, by Szanownym Abonentom naszym, którym zawdzięczamy głównie tak pomyślny skutek, i których znaleźliśmy więcej, niż spodziewać się mieliśmy odwagę, wyrazić najserdeczniejsze nasze podziękowanie.

Było to rzeczą nie łatwą a oraz nie mniej kosztowną, wśród naszych dla literatury wcale niekorzystnych stosunków i własnymi środkami naszymi postawić takie pismo i utworzyć mu drogę u publiczności; że dzieło to nam się powiodło, zawdzięczamy to po największej części pobłażaniu i żywej sympatii, jaką od początku spotykaliśmy na naszej drodze.

Dla podniesienia tego pisma nie szczydziliśmy dotąd i nie będziemy szczydzić nadal żadnych zabiegów i ofiar, gdyż staramy się urozmaicać ile możności treść jego, zważając przytem głównie na oryginalność artykułów, przysparzamy mu ciągle świeżych współpracowników i pozyskaliśmy już dlań siły literackie pierwszego rzędu.

Wierni programowi naszemu dążyliśmy zawsze do tego, by pismo nasze nastrecało czytelnikom swoim miłą a oraz nauczającą rozrywkę i odpowiadało kierunkiem swoim ich najświętszym uczuciom narodowym.

Również było i będzie zawsze najusilniejszym staraniem naszym, by podnosić coraz więcej artystyczną stronę naszego pisma. Przy znacznem ulepszeniu i rozszerzeniu naszych środków technicznych, o jakie postaraliśmy się teraz, zdołamy niezawodnie uchylić wszelkie niedostateczności, które dla braku potrzebnych przyrządów nie dozwalały nam dotąd sprostać zagranicy.

Zresztą równie szczerzy i zaszczytny jak dotąd udział naszych Czytelników, którym jeszcze raz wynurzamy tu najgorętszą wdzięczność naszą, będzie dla nas najsilniejszym bodźcem, by utrzymać naszą „STRZECHE“ na wysokości jej powodzenia.

Lwów 1. Listopada 1869.

Wydawnictwo „STRZECHY“.

CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.



W tej serdecznej Warszawie, jak ona jeszcze przed ostatnimi była wypadkami, a nawet jak jest dzisiaj, choć jej oblicze smutnie się teraz zmieniło, wśród świetnego i widocznego życia, ileż to się odegrywało dramatów na strychu i tragedyi po poddaszach, których żadne nie oglądało oko, chyba po troszę odgadł je wzrok milczącego stróża a wyczytał trumniarz, co lichą dźwignął po schodach zbitą z tarciczek, jak ją na Rusi zowią — domowinkę w ostatniej godzinie. Niekiedy ciekawsze oko mogło podpatrzeć tam życie i domyśleć się gry jego, tak zmiennej, tak różnej jak barwy opalu, w których się słońce przeglądając mieni.

Życie ludzkie... tak jednakowem się zdaje zdala, a tak dziwnie i nieskończenie jest rozmaitem, gdy się na nie patrzy serca i duszy mikroskopem. Na ówczas ta czarna i różowa plamka rozkłada się w cały świat kształtów, światel i cieni.

Z tych wzorów nieśmiertelnych życia tworzy fantazja obrazy, ale bezsilna jest jak dziecię, które z malowanej karty figurki wystrzyga... nowego nie potrafi urodzić, ledwie ze szczątków coś klei.

Dobrze jeszcze, kto posłuszny prawom niezłomnym nie sili się daremnie na to, co niemożliwe, i odwzorowuje naturę podziwiając jej cuda niewyczerpane... Te tylko obrazy życie przypomnieć mogą, które są z rzeczywistości czerpane. Można je bluszczem umać, ukwiecić, oświecić... ubarwić—ale cóż stworzyć potrafi człowiek ograniczony żelaznemi ścianami swojego organizmu cielesnego i duchowego!!

Mówmy więc o tem, na co oczy patrzyły, i co przeżywszy rzeczywistość ma prawo odrodzić się jeśli nie w pieśni, to w opowiadaniu zimowego wieczora.

Jeden z dwóch pałaców Zamojskich rodziny na Krakowskim przedmieściu, dziś zabranych bezprawnie i obróconych na użytek klubów rządzących królestwo na suzdalski sposób, był przed rokiem 1861 podzielony na mnóstwo drobnych mieszkań, które dosyć tanio różnym osobom wynajmowano. Mieściło się tam i młodzieży wiele, i mniejszych a niezamożnych rodzin urzędników, i wszelkiego powołania ludzi szukających bezpieczeństwa i schłodności przy umiarkowanej cenie.

Na drugim piętrze jeden z pokoików szczupłych, z malutką sionką tylko, zajmowała od niejakiego czasu osoba... która ludność pałacu, złożoną w większej części z młodzieży, mocno zaintrygowała. Jak się ona tu potrafiła

dostać, gdzie kobiet samotnie mieszkających nie przyjmowano, kto jej to mieszkanie wyszukał i najął, nie wiadano. Niepostrzeżono nawet zrazu, kiedy się wniosła... a tak wychylała się mało za próg swego pokoiku... i tak ostrożnie znać, aby wejrzeń nie ściągnąć, iż nierychło jakoś oko ciekawego młodzika wyspiegować ją potrafiło.

Było to późną jesienią; pan Zygmunt Haraburda, rusin, uczeń malarza Simmlera (który prawie nie przyjmował uczniów i uczynił tylko dla niego wyjątek) wracając ku wieczorowi na trzecie piętro, gdzie się mieścił, spotkał na schodach niespodziane zjawisko...

Nie mógł dostrzedz dobrze rysów twarzy, ale jako artysta w półmroku ciemno zarysowującą mu się postać niezmiernego wdzięku proporcei i gracyi klasycznej, niby ożywiony posąg starożytny ze dzbankiem w ręku... posuwający się ku górze ujrzał i stanął zachwycony. Szła nieznamoma owa lokatorka tak żywo jak tylko mogła, jakby się szelestu kroków przelekła... Zygmunt pospieszył, aby ją lepiej zobaczyć, ale nim dobiegł, pięknych kształtów dziewczęcę gdzieś mu jakby cudownym sposobem znikło.

Zygmunt, który oczyma się uczył świata i patrzył na wszystko z podwójną ciekawością młodzieńca i malarza, znał wszystkich mieszkańców tego domu... Każdego z nich nieco w karykaturze miał w swoim albumie... a dotąd tej przeslicznej karjatydy greckiej, a raczej kanefory nie widział.

Dotknęło to jego miłość własną. A że do projektowanego szkicu Racheli u studni potrzebował niewieściego wzoru, który mu mignął tak drażniąco się kryjąc... nie mógł sobie darować, że szedł powoli i chwilę na widok linii tej postaci osłupiał.

Postanowił więc sobie dotrzeć koniecznie i wysledzić, która z dziewcząt noszących dzbanki ma taką kibić zachwycającą i taki wdzięk ruchów...

Niestety; ani nazajutrz, ani w ciągu tygodnia nie potrafił wysledzić znikłego zjawiska... Dziewczeta wychodzące po wodę z domu były przeróżnego wzrostu i postaci, ale żadna z nich w najmniejszej rzeczy nie była podobną do tego snu wieczornego. Na ostatek Zygmunt powiedział sobie, iż mu się przywidziało... że sam stworzył z raczej przypadek te linie greckie wśród podobnych prozącznych schodów wiodących na drugie piętro.

Na tem się skończyło, gdy jednego ranka schodząc nieco później (był to dzień niedzielny), zobaczył przed

sobą idącą tę samą kibić klasyczną, tę samą marzoną kanforeę... Tym razem wszakże nie niosła ona nic, prócz książki do nabożeństwa w rękę, a ubrana była acz skromnie ale tak wytwornie, iż dzbanek w jej dłoni wydawał się anomalią. Pan Zygmunt potrafił ją wyminąć i zajrzeć jej w oczy, albo raczej zobaczyć twarz, wzroku nań bowiem nie podniosła... Stał zdumiony w wrotach, aby ją jeszcze oglądać przechodzącą, i przekonał się, że ona nie mogła nieść dzbanka.

W tej nieznannej panience było coś tak oryginalnego, dumnego, pańskiego i dzikiego razem, tak skromnie i majestatycznie przeszła koło niego, iż malarz sobie powiedział: nie, to nie ona! Ale, taż sama czy inna, piękna dziewczica tak niepodobną była do ogółu twarzy niewieścich oglądanych codziennie, iż Zygmunt westchnął, że jej odmalować nie potrafi.

Typ fizygnomii był wschodni może, a jednak nie hebrejski—różny od niego, dzikszy jakiś i energiczniejszy. Na tantym tysiącletnia wypiętnowała się niewola, tu coś nieokreślonego i tędnącego swobodą pustyni i lasów. Płeć miała smagłą, ciemną, ogorzałą niemal, oczy czarne, smutne i groźne, włos kruczcy... a kształty kibici były uroczej budowy. Niegodziwe suknie nie potrafiły zeszpecić i zakryć tego chodzącego posagu Junony azyatyckiej.

Ubiór jej był taką zagadką jak ona. Składał się z kosztownych materiałów widocznie poprzerabianych i zastosowanych na nowo do wymagań mody... bardzo zręcznie a jednak niepospolicie. Nie ubrała jej lada modniarka, i strój nie był chwycony w pierwszym lepszym magazyniku. Niosła go na sobie z godnością, ze smakiem, można by rzec z uczuciem wrodzonym, pełnem nieopisanego wdzięku. Chód jej nawet był inny jakiś, nie miejski... Dotykała ledwie stopą bruku, sunęła się po nim, ale czuć było siłę w tym pochodzie pewnym siebie i śmiałym. Gdy malarz spojrział na nią, na twarzy brązowej, podobnej do indyjskiego bóstwa, nie było wyrazu innego, oprócz głębokiego zamyślenia i smutku. Smutek ten nie skarżący się, jakby mimowolnie przeciskał się przez zmartwiałe rysy nawykłe do poważnego spokoju.

Szła widocznie do kościoła i znikła mu z oczów.

Nie byłby artystą i dwudziestoletnim młodzieńcem pan Zygmunt, gdyby na widzeniu tem poprzestał... poszedł na zwiady... O nazwiska lokatorów dowiadując się pilnie doszedł, że na drugim piętrze stała panna Lenora Zara, tak mu ją nazwano — samiuteńka jedna. Stróż nieco wtajemniczony w byt i położenie lokatorki, poczęstowany papierosem, dodał, iż cały dzień siedzi zwykle zamknięta w swoim pokoju, że była ponoś jakaś trudność z umieszczeniem jej w pałacu, ale ta jakimś tajemniczym, wszechmogącym wpływem usunięta została... i że dalipan, więcej nic o niej nie wie... Nazwisko brzmiało jakoś cudzoziemsko; Zygmunt spytał stróża, czy mówi po polsku, a ten ruszył

ramionami i zapewnił, że kilka jedynych słów, jakie z jej ust do jego ucha spłynęły, doskonałą były polszczyzną powiedziane. Na tem się skończyło... i więcej już dowiedzieć się nie było podobna.

Nie ma podobno kraju, gdzieby piękna kobieta większą cześć odbierała i obudzała zajęcie gorętsze jak w Polsce. Często uwielbienie to bywa nawet niegrzeczne i natrętne, można je tylko dla pobudek wytłumaczyć, jest to zdegenerowana cześć piękna w ogóle.

Wkrótce też cały pałac wiedział o tej nieznannej, badał ją i zajmował się odgadnięciem problemu: kto ona być mogła. Postać zapowiadała coś z wyższego świata, ubóstwo temu przeczyło; okrywanie się tajemnicą i życie zamknięte było niezrozumiałem.

Nigdy nie przemówiła do nikogo, nie obejrzała się, nie postarała o te sąsiedzkie prawie nieuniknione stosunki, które się same zawiązują. Obok mieszkał biuralista z żoną, córeczką i służącą, granicyli z sobą przez ścianę, a pan Melchior i pani Melchiorowa zaręczali, że u tej panny przez cały dzień ledwie jaki szelest albo westchnienie słyszeli. Nikt a nikt nigdy u niej nie bywał. Kaśka niezmiernie ciekawa służąca tych państwa stawała na czatach, widywała ją przynoszącą sobie wodę do dnia, wychodzącą czasem wśród niego z wyraźnem staraniem, aby się z nikim nie spotkać... niekiedy wymykającą się ze dzbankiem wieczór... zresztą... drzwi były na klucz zamknięte i cisza głęboka. Kaśka postrzegła i to, że panienska chodziła w jedwabiach, że miała piękny szal, kilka chustek kosztownych i zawsze świeże rękawiczki.

— Co to to jest? — mówił pan Melchior zażywając tabakę, systematycznie nogę prawą zakładając na lewą i lewą na prawą, aby nie drętwiały — to jest egipska enigma. W atlasach ze dzbankiem po wodę? Oczewiście jakaś historia... jakiś dramat, który się wytrawia po cichu...

— Ale co ma być! — niecierpliwie przerywała sama jejność, nie lubiąca poezji i niewieścich zagadkowych egzystencji — co ma być! Zaraz ichność robicie heroiny z lada wyszarzanego kawalka atlasu.

— A jak Boga kocham — zawołała z drugiego pokoju głowę wystawiając Kaśka z poufałością starej slugi — że ma takie szale i chustki... i suknie jakby jaka pani.

— A sama wodę nosi! — dodała ruszając ramionami pani Melchiorowa — to mi się podoba. Dajcież już temu pokój.

I nietylko pan Zygmunt, państwo Melchiorowstwo, Kaśka, ale cały pałac niesłychanie był zajęty ową panną, której nazwisko nic nie mówiło... a osoba tyle dawała do myślenia...

Zwykle w takich razach, gdy się ludzie śledzić uprą, coś naostatek odkopią, prawdę czy fałsz, i tem się zaspokoją, tu nie podobna było nic się dowiedzieć.

Z jeograficznego położenia i natury swych zatrudnień Kaśka była jeszcze może najlepiej uposażoną do podsłuchania i podpatrzenia czegokolwiek; jako narzędzie miała

niewieścią, słynną po matce Ewie odziedziczoną ciekawość. Ale wszystko to nie pomogło. Próbowała parę razy nastęrczyć się do małych posług, odebrała grzeczne podziękowanie tylko i nic więcej. Ale że była w dodatku bardzo pocziwą dziewczyną, której serce na niedolę biło, bo jej wiele w życiu przeżyła—nie zraziła się odmową i z duszy pragnęła w czemś być użyteczną tej panience, której położenie litość w niej obudzało.

— Co tam ja — mówiła w kuchni — że ja ciężko pracuję a na palca zawinięcie zarobić nie mogę... no to co? dyć to już było tak i z rodzicielami, ta i ze mną, bo na tośmy się rodzili z przeznaczenia bożego; ale ta... czarna... chodziła ona zawsze po wodę do studni? Przypadło na nią nieszczęście — ta to cierpieć musi stokrotnie, bo nie nawykła... Nieraz się patrzę, jak niesie tę wodę, albo coś z miasta — ono to prawda, że pięknie nieść umie, człekby tak nie potrafił — ale co? czuć i widać, że jej to ciężar straszny, a oczy spuszcza ze wstydu... Ale dumna jejmościanka... ani piśnie. Kilka razym ją zaczepiła, ino główkę obróci, spojrzy temi oczyma kieby węglami, a głos jak muzyka... jakby spiewał... ino taki smutny, że się płakać chce.

Wzdychała Kaśka, że jej pomódz nie mogła, że się wkraść nie potrafiła... a nie straciła ochoty do swych psychologicznych studiów nad nieznaną.

Pan Zygmunt porwany wirem artystycznego żywota zaniedbać je musiał, a państwo Melchiorostwo radzi byli, że mieli spokojną sąsiadkę.

W tych czasach, jakoś o św. Michała, wniósł się na pierwsze piętro kawaler wielkich nadziei, pan Roman Junosza Zarybski, młody dziedzic znacznej fortuny, którego rodzice wyprawili do Warszawy dla swobodnego ukończenia wychowania. Pretekstem były lekye muzyki, gdyż był muzykalny, lekye akwarelli u Kostrzewskiego, gdyż nieco malował, i prywatne różne studia, których wybór jemu samemu był zostawiony.

Roman pochodził ze szlacheckiej wprawdzie rodziny, ale niedostatniej dawniej a dopiero w ostatnich czasach, gdy fortuny jak grzyby rosnać się nauczyły, nagle zubożonej. U nas rodzina, przychodząca do majątku, za pierwszy sobie zaraz poczytuje obowiązek, zupełnem przejściem na łono społeczności arystokratycznej, europejskiej, zerwać z przeszłością i wkupić się do większego świata. Nie przychodzi to bez ofiar, ale czegoż się nie uczyni, aby zająć stanowisko przyzwoite!! Skutkiem starań rodzicielskich o przyjęcie do bractwa było, iż syn już najzupełniej do niego się wcielił.

Romanek nie tylko że wyglądał arystokratycznie, nie tylko że mówił lepiej po francuzku niż po polsku, że przywiązywał do prozapii i genealogii niesłychaną wagę i stworzył sobie wywód od dwunastu wojewodów, że był jak najgorętszym katolikiem nie z serca ale dla tonu i z obowiązków stanu, chociaż młody poślubił jeszcze konserwa-

tywne przekonania i wstręt do rewolucyi, agitacyi, czerwoności, z którym lubił się popisywać wszędzie. Był ze wszech miar młodzieńcem wzorowym, uczęszczał do najlepszych towarzystw i tylko do domów znanych z rodu i uspołobień pokojowych, ulicą się brzydził, a bez rękawiczek nikt go nigdy nie widział i bez nieposzlakowanego cylindra. Powierzchności pan Bóg mu nie dał wdzięcznej, był chudy, długi (nie wysoki, bo to inaczej wygląda), posępny, z nosem trąbiastym, włosy nosił gładko, a mimo młodości arcy był poważny i — że studyował jenealogię domów polskich, przeto inne lekkie literackie produkye wcale dlań nie miały wartości. Znano go jako pełnego nadziei poczynającego archeologa, zaprzątzonego historyą guzików herbowych... Znakomite do niej zebrał był materyały.

Roman wyglądał nieco donkiszotycznie, trochę śmieśźnie, ale nadzwyczaj przyzwoicie. Gdy kogo los zechce kompromitować, czyni to czasem w sposób tak nieznośnie drapieźny, żeby go można posądzić o chęć drwienia z ludzi. Roman stanął w pałacu Zamojskich dlatego, iż mu się to zdawało przyzwoitszym niż gdzie indziej, a lichy nadało, że na trzeciem piętrze znalazł tu Haraburdę dalekiego krewnego, bez któregoby się był wyśmienicie obszedł. Drugiego dnia dopytała się doń ciotka, która była zapomnianą przez rodzinę, a niestety! — wraz z mężem zajmowała się sprzedażą mąki i krup!

Choć nie dał tego poznać po sobie pan Roman, ciężko go te dwa spotkania zgryzły i przybiły. A od Haraburdy się uwolnić i drzwi mu zamknąć nie było sposobu, ciotki się wyrzec zdawało niepodobieństwem.

Na dobitek nieszczęścia Roman miał kompleksy nader romansową, jak się o nim wyrażał kuzynek... i choć się z tem taił nieco, jednym z celów przybycia do Warszawy było... zawiązanie jakichś stosunczek cichych, któreby kawalerski żywot urozmaicić i zazielenić mogły.

Tradycye tego świata, do którego należeć pragnął, wcale się temu nie sprzeciwiały, wiedział tylko, iż należy zachować decorum. Wkrótce po zajęciu lokalu na pierwszym piętrze i umeblowaniu go tak, aby mógł choćby właściciela pałacu przyjmować, jednego dnia schodząc ze schodów Roman pracował nad prawidłowem włożeniem rękawiczek dziewiczej świeżości. Mozolił się nad niemi, gdyż łapę miał całe nie pańską, a chciał, by uchodziła za kształtną i małą. Już był wcisnął palców czworo i pozostawał mu piąty gruby i niezgrabny klocek do wświdrowania, gdy... stanął i osłupiał... rękawiczka pękła... usta się rozdarły...i ogromne — ach! wyrwało się z nich.

Schodami szła od dołu żywo, pewnie nie spodziewając się spotkania, owa nieznanoma Lenora... dźwigając spore pudełko... Roman ujrzał ją — i po wstępnem: ach! — zawołał:

— Pani tu! Mlle Lenora ici?

Panna podniosła czarne oczy bez podziwu i przestachu, popatrzała jakby jej sobie trudno było przypo-

mnieć tego dobrego znajomego, i lekko pozdrowiwszy go głową, nie odpowiadając nawet, poszła dalej.

Za Romanem szedł natrętny kuzynek Haraburda.

— A no! — rzekł — przecież się historii tej chodzącej zagadki dowiemy. Pozywam pana Romana, aby powiedział, co o niej wie.

— Co ona tu robi? — spytał żywo Roman.

— Ale ja ciebie się o to pytam! Mieszka na drugim piętrze, wodę sobie sama nosi, cały dzień siedzi zamknięta. Któż to jest?

— Ja nie wiem, kto to jest — rzekł Roman — to tylko wiem, że w domu starej wojewodziny (jednej z ostatnich wojewodzin 1831 roku) widywałem ją na stopie dziecięcia domu, panią niemal samowładną, gdyż wojewodzina nieco była zdzienniała. Wiem że ona podobno zmarła — dalej — nic...

— Czy krewną była?

— Czy krewną? Kto to może wiedzieć! — dodał Roman — jedni powiadali, że krewna, drudzy że córka... co było fałszem, a inni nic, jak my teraz nie wiedzieli. Coś się stać musiało! — zawołał Roman, kiedy ona tu jest.

Młodzieńcowi oczy pały mówiąc, i pomimo pęknięcia rękawiczki, nad którym bolał wielce, bo był skąpy (to należy do tonu od niejakiego czasu), zapomniał się do tego stopnia, iż Haraburdę wziął pod rękę wychodząc w ulicę.

— Tak wykształconych osób jak ona — dodał — mało w życiu się spotyka... gra, śpiewa, maluje, czyta... pisze... mówi językami wszystkimi... umie nawet po hiszpańsku... a rozum, a dystynkcyja. A! — rzekł — to pewna, że w jej żyłach nie lada krew płynie.

— Sina! — uśmiechnął się Haraburda.

— Cóż to jest? Co ona tu robić może... osoba tak wysoce... głowę tracę! Boć mówiono powszechnie, że miała zapewnionego pół miliona posagu.

Rozmowa się na tem skończyła. Romanek poszedł na zwiady, tegoż wieczora zagadnął parę osób o los Lenory, o wojewodzinę... ale przez zaciśnięte zęby nikt nic wycedzić nie raczył. Spoglądano na niedyskretnego badacza dziejów ojczystych, tym razem zbaczającego z drogi swych studyów, chrząkano i milczano...

Na pytania o Lenorę ten i ów szepnął:

— A! vous parlez o „Czarnej perełce“!

— A! Czarna perełka!... I wszyscy milczeli. Zdaje się, że to nazwanie Czarnej perełki dała jej kochająca ją nad wyraz wszelki wojewodzina.

Nie dowiedzieć się nie było można.

Jednego dnia Kaśka naprzemian wdychając i śpiewając przymiatała nieco w korytarzu, przez miłosierdzie szerzej nieco szczotkę puszczać, tak ażeby i z przed

drzwi nieznanym panienci pył ściągnąć, gdy leciuchno, ostrożnie drzwi się te otworzyły, tak że przez nie nie jeszcze dojrzeć nie było można, i po raz pierwszy Kaśka usłyszała:

— Moja panienko!

Uszczęśliwiona zbliżyła się do szpary... Drzwi otworzyły się nieco, ręka biała dała jej znak, aby weszła. W ręku tym bieląca złotówka jakby dla oszczędzenia słów i prośby o usługę małą... Twarz pocziwej Kasi oblała się rumieńcem... Przed nią stała nieznanoma panna w szlafrocisku, w pół ubrana, blada, mizerna i widocznie chora.

— Moja panienko — rzekła jej cichym głosem — tyś tak dobra...

Chciała jej wcisnąć złotówkę... ale Kaśka rękami machając cofnęła się aż do progu.

— Jeżeli masz czas, bądź łaskawa, zanieś moją karteczkę lub odpraw przez kogo do doktora... Mieszka nie daleko. Sama słaba wyjść nie mogę, miłosierny spełnisz uczynek.

— Ale jakże... ale z najmiłą chęcią — zawołała Kasia chwytając papier żywo — odniosę zaraz. I dajbóg, niech panienska nie robi ceremonii, państwa w domu nie ma... jaby w czem usłużyć mogła... panna tak sama, no i słaba.

— Nic, nic, tylko proszę o doktora, bo istotnie czuję się nie dobrze.

Kaśka popatrzyła, objęła wejrzeniem pokoik cały, radaby była w dłuższą się wdać rozmowę, ale pililo (jak mówiła), zerwała się biedz do lekarza... W istocie nieznanoma panna drżała osłabiona i chwiała się na nogach.

Pomimo krótkiego pobytu na progu przedpokoiku, od którego drzwi do mieszkania były otwarte, Kaśka widziała wiele, a przynajmniej więcej, niż ktokolwiekby. Ale była z tego oznaku zaufania tak dumną, iż się swemi wiadomościami wcale popisywać nie chciała.

Ludzie widzieli ją, gdy wchodziła i wychodziła przez zakłte drzwi, ale gdy się jej pytali, okryła się tajemnicą, ruszyła ramionami i nie wydała, co tam zobaczyła.

We dwadzieścia minut może po powrocie Kaśki nadjechała karetka doktora, i stary, zacny lekarz, znany całej Warszawie, żywo wbiegł na wschody; panna Leonora musiała go widzieć z okna, gdyż nim zapukał otworzyła mu drzwi.

Wszedł do pokoiku i zdumiony powoli zbliżał się rozpatrując, jakby oczom nie wierzył.

— Co pani tu robi? — zapytał... co to jest?

— Nie pytaj mnie, kochany konsyliarzu, co robię, dla czego tu jestem, czemu mnie samą i w tym stanie znajdujesz — radź mi, bom chora.

Przebliżyła się do kanapki i powoli jakby zesłała, zsunęła się na nią.

Doktor milczący wziął za puls, począł badać, czoło mu się zmarszczyło, ramionami ruszył.

— Przepraszam panią — odezwał się — nie jest to niedyskrecya ale konieczność. Lekarz musi czasem być

spowiednikiem. Ja nie poznam choroby, nie rozumiejąc jej położenia.

Czarnemi oczyma smutnemi spojrzała z wyrzutem jakby na doktora panna Lenora, milczała długo, a usta jej drżały. Ręka jej, którą doktor puścił, bezwładna leżała na stole biała, wychudła, a piękna jakby na wzór dla artysty... leżała bezmyślnie rzucona, i przez nią malował się stan ducha zwątpiałego, zobojętniałego na wszystko.

— Co pani tu robisz? — powtórzył doktor.

— Widzisz, jestem tu, mieszkam sama, pracuję...

— Dla czegoż sama i tu? Co się stało z wojewodziną...

Lenora milczała długo, ukryła twarz w dłoniach, poczęła płakać i łkać.

— Wojewodzina umarła? — spytał doktor.

— Nie żyje — cicho odparła kobieta — nie żyje matka moja i dobrodziejka... nie mam na świecie nic i nikogo... oprócz słabych rąk i obłąkanej głowy...

— Ale przecie pani byłaś w jej domu jakby własne jej dziecię, nie podobna ażeby cię tak zostawiła.

— Ona! — zawołała Lenora — ona! ten anioł dobroci! ona! a! nie posądzajcież jej...

— A więc?

— Tak się złożyły okoliczności, tak obowiązki kazały, bym wyszła jak mnie widzicie — mówiła dumniejąc Lenora — nie pytajcie mnie, nie dręczcie mnie. Błagam was! nie mogło być inaczej! Jest dobrze tak jak jest!

Doktor słuchał milcząco...

— Pani nie jesteś chorą — odparł namyśliwszy się — ale na drodze do choroby, która się może stać niebezpieczną. Zmiana położenia, praca nad siły, przejście z wygód do mniej regularnego życia... osłabiły ją... potrzeba spoczynku, uspokojenia ducha, wzmocnienia materyalnego... Co pani jada?

Lenora się zarumieniła.

— Uczę się być ubogą — zawołała — jem chleb, czasem piję kawę, dużo wody... bułkę.. niekiedy trochę mięsa.

Stary słuchał posępny, nie wiedząc co odpowiedzieć. Jako lekarz stał wobec położenia i okoliczności utrudniających misję, nie pozwalających od razu rozstrzygnąć zawikłanego zadania.

— Ale to właśnie i praca nad siły rodzi chorobę! — zawołał — siedzenie! zamknięcie!

— A cóż robią ludzie jak ja ubodzy i na pracę skazani?

— Oni są po większej części nawykli do niej i do niedostatku.

— A ci, których wśród dostatku spotka nędza i narzuca się im praca?

— Ci tak chorują jak pani — rzekł lekarz — często nawet, nie będą tego pani ukrywał, nagle zmiana wywołuje nietylko chorobę, sprowadza śmierć.

— O! śmierć! — odezwała się ruszając ramionami — śmierć nie jest straszna; co istotnie trwoży, to bezsilność i choroba... Załamała ręce.

— Mówże pani ze mną szczerze — po chwili wstając z krzesła i poczynając się przechadzać począł doktor. — Wiesz pani dobrze, jak święte i wielkie są obowiązki nasze, chciałbym je choć w części spełnić. Nie kryj pani przedemną nic. Chcesz sobie sama wystarczyć i pewnie chwytasz się pracy niewłaściwej, gdy z jej talentami, nauką mogłabyś łatwo...

— Przepraszam cię doktorze... chcę być samotną..., nie chcę stosunków ze światem żadnych, ani żadnych dlań zaciągać obowiązków.

Lekarz zamilkł.

— Ja się więc pani nie na wiele przydam — rzekł — popelnisz pani przez jakąś dumę rodzaj dobrowolnego samobójstwa. Co to pomoże, jeżeli jej powiem: karm się mięsem, używaj ruchu i bądź wesołą.

— Ostatnie jest najlepsze — uśmiechając się przerwała Lenora — admirowałam zawsze panów, zalecających pacjentom, ażeby się nie kłopotali niczem i unikali zmartwień, powinniście o to prosić pana Boga!

— Lekarstwa innego do zapisania nie mam nad beefsteck... wino czerwone, zdrowy stół, świeże powietrze i ruch...

Lenora westchnęła — To się równa wyrokowi na chorobę...

— Pani kochana — rzekł śmiejąc lekarz, siadając za stół znowu — powiedz mi szczerze swą historję, objaśń położenie.

— Znasz je pan! widzisz ubogą sierotę bez żadnych zasobów, zmuszoną do pracy, zepsutą pieczęcotami i wygodami, dumną, złą, upartą i bardzo biedną.

Wstał stary zniecierpliwiony, biorąc za kapelusz.

— Zostały pani z dawnego jej położenia znakomite stosunki...

— Nikomu nic winną być nie chcę...

Doktor ruszył ramionami.

— Cóż znowu! — zawołał prawie gniewnie — co za niedarowane dziwactwa!

Na te słowa powstała nagle Lenora zarumieniwszy się, ale po chwili padła na siedzenie, bo się na nogach utrzymać nie mogła. Lekarz podbiegłszy posadził ją, widząc większe niż się domyślał osłabienie.

— Nazywasz to pan dziwactwem — odezwała się — sąd jest za surowy. Odzywać się do ludzkiej pomocy może tylko ten, kto ma do niej jakieś prawa. Ja nie mam żadnych, ja żadnych nie roszczyć, ja sobie samej chcę być winna przyszłość, jeżeli ją mam jaką.

— Jest to choroba dumi — łagodniej dodał lekarz.

— Ale choroby są w naturze człowieka, i ta moja gnieździ się we krwi... inną jak jestem być nie mogę.

Zmarszczyła brew, coś dzikiego patrzyła z jej ślicznych rysów, którym osłabienie i wychudzenie nadawało wyraz jeszcze więcej uderzający.

— Pani kochana, po cóżes mnie tu wezwała, abym był świadkiem chyba i z bolem ztąd odszedł... Cóż ja ci mogę poradzić, jeżeli się chcesz zabić?

— Nie, zabić się nie chcę — odpowiedziała słabym głosem — choć życie dla mnie jest niezrozumiałe, choć nie pojmuję, na com się urodziła, rozumiem iż nie przyszłam na świat bez celu, dla igraszki... Czuję więc obowiązek wypić czarę do dna...

Samobójstwo w jakikolwiek sposób jest świętokradzkiem porwaniem się przeciwko wyrokom bożym.

— Dla czegoż nie chcesz pani pojąć zarazem, że jeżeli życie ludzkie ma cel, nie może go mieć wzięte pojedynczo, zrozumieć je można tylko w związku ze społeczeństwem... A zatem od tej spójni się dla dumy odrywać, nie chceć stosunków z ludźmi, jest także sprzeciwieniem się bożym wyrokom.

— Sofista jesteś doktorze — odparła głosem słabym... I spuściła głowę, i po kobiécemu płacz ją porwał, jęknęła dodając — Nie mogę! nie mogę.

— Co pani nie możesz?

— Nic! nic! już milczę! nerwy mam podrażnione — rzekła nagle opanowując się — nic!

Doktor człek zacny, w którym długoletnia praktyka ludzkich niedoli zamiast serce przygłuszyć, rozwinęła uczucie i wyrobiła miłosierdzie, nie mógł tak chorej porzucić.

— Jeszcze pytanie — rzekł — Mówisz mi pani, że nie masz nic... że chcesz żyć z pracy!

— Tak jest...

— Z jakiej?

— Z pracy rąk... szyję... haftuję...

Lekarz ruszył ramionami.

— Ale to marnowanie sił! to potrafi lada dziewczę bez wykształcenia. Znasz pani muzykę, języki, literaturę, rysunek... z tem przecie z głodu się nie umiera.

— Tak, ale z tem trzeba iść w świat żebrać zajęcia, spijać upokorzenie, i narażać się na najfałszywszy stosunek... Jestem nawykła do swobody, trzeba się uczyć służbistości i uległości... Ja tego nie mogę... ja przedewszyst-

kiem nie mam siły wniknąć w ten świat, w którym żyłam na stopie niepodległości i równości, jako służebnica zapłacona.

— To duma, a brak siły moralnej, siły ducha — rzekł surowo lekarz — to uznanie słabości.

— Co chcesz! prawda, alem słaba! — kryjąc oczy ręką zawołała Lenora — nie mogę. Drugiego dnia wybuchnęłoby ze mnie oburzenie... duch buntowniczy, który we mnie mieszka. Pieszczona, zepsuta, dobrocią na stos się dam zaprowadzić, siłą ani na tron!

Doktor zamilkł.

— Dosyć — rzekł — tego gadania, pani się męczysz bezpotrzebnie... na dziś egzamen skończony. Od lekarza możesz śmiało przyjąć obiad, który ci przyszlę... bo go zapisuję jako receptę...

Zaczerwieniła się Lenora i załamała ręce.

— Na miłość Boga! nie czyn tego, otrujesz mnie — zawołała z ogniem w oczach... ja mam za co kupić kawałek mięsa... nie czyn ze mnie łaską żywionej żebraczki!

— Dobrze! dobrze, nic nie przyszlę — pospiesznie rzekł doktor — ale jeżeli znajdę robotę w domu mogącą się odbywać, stosowniejszą dla pani...

— Wymodloną? przez miłosierdzie! doktorze! — krzyknęła Lenora.

— Nie proszoną, ale o którą pani się będą prosić. Cóż to znowu za szaleństwo! — dodał groźnie.

— Zobaczemy... zobaczymy...

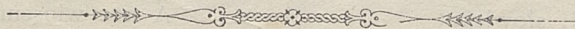
Podala mu rękę... zatrzymała chwilę dłoń doktora, podniosła oczy łzawe i szepnęła.

— Doktorze! upokorzona ucieknę... skryję się... oszczędzaj chorobę duszy mojej, choćbyś ją potępiał... Mów sobie, zem chora i zasługuję na litość i poszanowanie.

Stary nie powiedział słowa, uściskał jej rękę i wyszedł krokiem powolnym zamyślony głęboko, jak ten, który dotknął rany nieuleczonej i nie wie, co z nią pocznie.

Drzwi się za nim zamknęły... a w korytarzu cisza była znowu, i z samotnej izdebki żaden głos nie dochodził. Kaśka ośmielona zapukała, puszczono ją, poszeptala coś i uszczęśliwiona wyszła... czując się tem zaufaniem tajemniczej panią podniesioną. Nie chciała już tego dnia nawet gadać z kucharką.

(C. d. n.)





KWIATY.

I.

DZWONKI.

araz mi jasność zniknęła dzienna,
I świat zalała ciemność bezdenna;
Czułem, że serce boleść mi zrywa...
Poczem nastąpiła cisza straszliwa. —

Z całego życia przebrzmiałej wrzawy
Zostały tylko mgliste wspomnienia,
Jakiś bój straszny, upadek krwawy,
Wyrok zagłady i potępienia,
Nędza bez granic, byt bez przyszłości
I całe morze... morze nicości.

W wnętrznościach ziemi, w prochu i pyle
Leżałem martwy w swojej mogile,
Z wystygłą piersią, z wystygłą twarzą,
Pod ciemnych duchów leżałem strażą;
Lecz chociaż wszystko padło w rozstroju,
W niemocy ducha, w martwości ciała,
Jednak nie miałem w grobie spokoju,
I myśl paląca wszystko przetrwała —
I po przebytej męce konania
Zostało jeszcze poczucie trwania.

Czułem na ustach życia gorycze
I wszystkie smutki śpiewne, słowicze;
Marzenia w przepaść strącone ciemną
Ulatywały jeszcze nademną;
A pod tych marzeń mglistą zastoną,
Pod tym oddźwiękiem przebrzmiałych godzin,
Tysiącem uczuć drżało mi łono,

Tysiącem wskrzeszeń, czy też narodzin.
Życie się łało w nowe koryto
Rzucając dawną formę przeżyta.

Czułem, jak piersi moje rozsadza
Razem niszcząca i twórcza władza,
Jak nieśmiertelna boska potęga
W ruch nieskończony znowu mnie wprzęga,
Jak mnie roztapia w światów ogromie,
Jak mi dla ducha drogę toruje...
I widzę siebie w każdym atomie,
I wszędzie myśl swą dawną znajduję;
A jedną cząstką po nad grobami
Wybiegam na świat kwiatów oczami.

I zamieniony w dzwonki błękitne
Na własnym zgliszczu stoję i kwitnę...
Znowu się patrzę na jutrznię złotą,
Znowu się do niej zwracam z tęsknotą;
A noc wiosenna perłowe łezki
Rzuca na kwiatów senne kielichy,
I znowu kończę sen mój niebieski,
Taki spokojny i taki cichy...
A kiedy wietrzyk potrąci kwiecie,
Pieśń idealna płynie po świetle.

Płynie daleko — wietrzyk ją niesie
 Po złotem polu, zielonym lesie,
 Po naszych górach, po naszych wodach,
 Po naszych cichych wiejskich zagrodach;
 Miesza się z szmerem jasnego źródła,
 Z szumem topoli, z śpiewem słowika,
 I nadpowietrznym hymnem spokoju,
 Harmonią ciszy serca przenika;
 I błogosławi ojczyznie pole,
 I błogosławi ludzką niedolę.

Czasami także niebieskie kwiecie
 Zwabi do siebie samotne dziecię;
 I siada dumać pacholę młode
 Patrząc na kwiatków dziwną urodę;
 I nie wie nawet jakim sposobem,

Zrywając dzwonek kłosa powiewne,
 Wyrasta myślą nad smutnym grobem
 I w sercu dźwięki znajduje śpiewne;
 Lecz czuje tylko, że się w niem budzi
 Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

Więc czegoś patrzy i czegoś czeka,
 Niby coś widzi w cieniu zdaleka...
 W gasnącej zorzy i w barwach kwiatów
 Zgaduje piękność umarłych światów,
 I nim się ocknie z zadumy sennej —
 Wykwita przed niem na tle błękitu
 Anielska postać w szacie promiennej,
 Płynąca ogniem nowego świtu,
 I tajemnice grobów odsłania
 Królowa śmierci i zmartwychwstania.

El... Y.

NA GROBLACH.

Szczęśliwie siadłeś na Żuławach manie!
 Dobrze ci tutaj póki Wisły stanie;
 Wiatr na cię robi, woda robi na cię,
 Piękne obejścia, piękne bydło macie;
 Łódź wszystko poda i wszystko wywozi,
 Tylko że czasem Wisła wam pogrozi.
 Bo Wisła gniewna jest za to na mana,
 Że chłop zatyły o tem zapomina,
 Zkąd ona płynie i gdzie się poczyna,
 I że ta ziemia jest mu z łaski dana.
 Szanuj się tedy, kiedyś porośł w pierze,
 Bo co ci dała — Wisła ci zabierze.

S od Gniewem dzieli się Wisła na dwoje. Lewe jej
 ramię, Samicą, Matką albo samą Wisłą zwane,
 uchodzi pomijając Gdańsk do morza, rozdzieliwszy
 się raz jeszcze niedaleko ujścia swego na Leniwkę i Szkar-
 pawę. Leniwka wpada pod wioską Neufahr wprost do
 morza bardzo szerokim i głębokim wartem; Szarpawa
 zwraca się ku wschodowi i łączy się kilku odnogami z za-
 toką Fryzką; a na widłach Leniwki i Szarpawy, od pół-
 nocy morzem oblana siadła wyspa piaszczysta, Mierzeja
 zwana, która jest odpłuczyskiem morskiem. Drugie ramię
 płynie na Elbląg i Malborg i wpada z osobna do zatoki
 Fryzkiej, raz jeszcze rozdzielone, i zwane jest na tej
 przestrzeni Nogatem.

Pomiędzy Wisłą tedy a Nogatem leżą Żuławy
 Gdańskie i Malborskie, po obu brzegach tych ramion
 w ostępie wyższych zabrzeży, które w sposobie wyżyn
 okrażają cały obszar ziem żuławskich nie tylko nisko po-
 łożonych, ale i owszem zapadłych.

Jest to kraina odrębnej zupełnie natury i fizygnomii,
 a powstanie jej tłumaczy dokładnie i oznacza w jednym
 słowie nazwa miejscowa Żuławy.

Kto się przypatrywał porównawczo krainom żuław-
 skim, tworzącym się na ujściu wielkich rzek w morzach
 zamkniętych, ten mógł zrobić uwagę, że rzeki, tworzące
 ziemie żuławskie na swem ujściu, albo płynęły nie-
 gdyś albo płyną dotąd przez lesiste obszary i uprowadzają
 z sobą leśne wody, niosące żuł leśny. Żułem leśnym
 nazywa lud namuł roślinny, tworzący się w puszczech,
 borach i lasach, kawowego, czekoladowego a nawet czar-
 nego koloru, podobny wodom leśnym, które ten żuł niosą
 i na ujście Wisły składają.

Otóż krainę na dolnej Wiśle, gdzie się żuł w łąwy
 złożył, nazwano Żuławami.

Wiadomą jest rzeczą, że Wisła dawniej pod Gnie-
 wem wpadała do morza, i że całe dzisiejsze Żuławy są
 odchodziskiem morskiem, już za czasów historycznych
 wydobytem z bagien, równie jak piaszczysta Mierzeja,
 która na widłach Leniwki i Szarpawy siadła, jest odpłu-
 czyskiem morskiem, wyniesionem falami z dna morskiego
 w czasie długotrwałej i gwałtownej burzy na Bałtyku.

Groble, w które Wisła na dolnym biegu jest ujęta,
 wnoszą przeszło czterdzieści mil długości razem wzięte.
 Gdyby te groble nie trzymały brzegów Wisły i Nogaty,
 nie byłoby Żuław, bo koryto obu tych odnog leży wyżej
 od obszaru ziem żuławskich i podnosi się coraz wyżej
 z laty. Są tam groble na dwadzieścia cztery stóp wzo-
 szące się nad zwierciadło Wisły, a pomimo to wznosi się
 nieraz wyżej stóp dwudziestu powódź krę niosąca, i prze-

rywa groblę i zamienia Żuławy w wielkie jeziora przegradzone tylko przerwaniami groblami. Żuławy bowiem nie są niziną ani krainą równą, ale obszarem zapadłym, na wagę wód wylanym i zniwelowanym, a znacznie niżej położonym od ramion Wisły i morza.

To już tłumaczy naturę kraju co do jej głównej zasady. Żuły leśne, które ten poziomy utworzyły pokład, są bardzo urodzajne. Ztąd są Żuławy bardzo żyzną sztuczną łąką, a w wielkiej części bardzo wyprawionym i uprawnym ogrodem.

Obszar ten zapadły ma własną sieć wodną, i stosownie do miejscowości jest każda własność z jednej strony oddzielona groblami, a z drugiej połączona kanałami z systematem wodnej sieci, przekopów i kanałów, z których każdy jest spławny, przynajmniej na pewnej przestrzeni dla użytku miejscowego lub okolicy swojej.

Groble są obsadzone wikliną i wierzbnikami, starannie bardzo utrzymanymi; ztąd też mają Żuławy paliwo własne i dostarczają go nawet do miast pobliskich; a trzeba tu także dodać, że w rachunek paliwa idzie także drzewo, które Wisła i Nogata na każdej powodzi z sobą uprowadza. Wówczas to jest cała ludność miejscowa zajęta łapaniem tego drzewa, które na groblach w stopy i piramidy ułożone osycha z roku na rok, a potem w sęgi porzniete lub na budulce wyrobione, na deski potarte, idzie nie tylko w nadbrzeżny handel, ale nawet w targ morski. Dla Żuław rosną gdzieś tam po świecie lasy; dla siebie sadzi Żuławiak wierzby, które starannie utrzymane i najlepiej grobel strzegą, i dają zawsze gotowy materiał do faszyn, tam, i obfitość paliwa.

Własność każda jest oddzielona groblami lub liniami kanału, wszędzie pełno mostków i kładek zwodzonych, bo po kanałach przechodzą statki, czółna, promy i żeglowne berlinki.

Jeżeli Wenecya jest miastem na wodzie, to możnaby tu o Żuławach powiedzieć, że Żuławy są krajem na wodzie, i w głąb każdej własności zachodzą lub przechodzą statki po wodnym gościńcu; czółnem płynie każdy na targ do miasta i miasteczka, czółnem do swego ogrodu, na swoją łąkę; na czółnie przewozi się bydło na paszę; statkiem zwożą się snopy do stodoły, statkiem, który kanałem pod dach zachodzi, gdzie się wprost ze statku po zapolach składa zboże. Wszystkie wody mają tu bardzo mało spadku, albo właściwiej mówiąc, wyjąwszy ramiona Wisły, nie mają spadku żadnego; ztąd też odbywa się żegluga bezpieczniejsz niż na stojących wodach, i nie zagrażają jej ani burze ani wiatry, bo w każdej chwili można przybić do lądu; wysokie groble chronią kanały od wiatru, a przy pomyślnym wietrze płynie się szybko przy pomocy żagli. Żuławy zostają już pod wpływem atmosfery morskiej.

Nad morzem wychmurzona wilgoć wtacza się tu na

ląd, a obłoki północnymi i północno-zachodnimi wiatrami pędzone, ulewają się na Żuławach obfitemi deszczami lub opadają bogatą rosą; ztąd pochodzi obfitość wód miejscowych i świeżość całej roślinności. Wyjąwszy znacznie krótszą zimę od naszej, są też przez rok cały Żuławy jak ruta zielone, prześliczną paszniczą łąką. Osobny też rodzaj bydła mają Żuławy, które z mleczości swojej słynie równie jak bydło holenderskie; jest to czarno-srokata rasa, o krętych rogach i ostrej kości, niepozorna wprawdzie, ale co do zalet tak wielka, iż były czasy, gdzie za żadną cenę nie można było nabyć dojrzałej krowy; krowę może mieć tutaj ten tylko, co ją sam wychowa, i dla tego znalazło holenderskie bydło więcej upowszechnienia nawet u nas, bo idzie w targ europejski, kiedy żuławskiego bydła dokupić się nie można. Co do rasy, jest to polska krowa, ale na żuławską paszę przeniesiona, a ztąd tak mleczna; cały dzień też pasie się tu bydło bez pasterza na łące, która jest podzielona groblami, kanałami lub żywymi płotami na osobne ręki; część idzie pod kosę, a część na wypas. Najrozkoszniejsze łąki przegradzają znowuż sady szlachetnych drzew owocowych i wierzbniki dające opał; każdy kawałek ziemi jest użyty i na pożytek obrócony. Kmiece też gospodarstwo z całą przynależnością: łąk i ogrodów, pol i sadów, wierzbników i żywych płotów, kanałów i grobel płaci się od 50 do 100 tysięcy talarów wartości, i bardzo trudno nabyć taką własność, bo tu nie nabywa się własności, ale przychodzi się do niej właściwie tylko spadkiem. A jest to wielkie szczęście i dla miejscowych właścicieli i dla pomyślności całego kraju, bo tu można dostatek i zbiór utrzymać tylko przy tradycyjnem gospodarstwie i przy mądrym regulowaniu stanu wód wewnętrznych, w kanałach, stawach i jeziorach zebranych; systemat ten bowiem wodnej siatki kraju nie łączy się wprost ani z morzem ani z Wisłą, ale tysiące pomp olbrzymich i liwarów pompują wiecznie zbytne wody i odlewają je łotokami lub właściwiej wyżniami kanałami do ramion Wisły i morza; łotoki te są prowadzone wyższym poziomem grobel niektórych, i tworzą jeden wielki system odnawiania: łąk, ogrodów i ziem żuławskich.

Inaczej też wcale wyglądają tu budynki, bo nietylko domy mieszkalne, ale wszystkie prawie pobudynki gospodarskie zakończone są u góry wietrznymi młynami. Wody nie mają spadku, więc tylko wietrzne młyny dają mlewo i są prawie ciągle w ruchu; co żuławiak każdy jest zarazem młynarzem i przerabia nietylko własne zboże na krupy i mąkę, ale zakupuje zboże spławne Wisłą, by przez cały rok utrzymać młyny swoje w ruchu.

Nie wszystkie te wiatraki wszakże są w istocie młynami wietrznymi; są także tartaki i młóćarnie wiatrem pędzone, i owszem każda własność ma wiatraki, ale które w ruch nieustanny wprawiają olbrzymie pompy odlewające wodę do łotoków, które odprowadzają obfitość albo zbyt wody

wewnętrznych ku ramionom Wisły i morzu, tak z Gdańskich jak i z Malborskich Żuław. Dziwny tedy przedstawia się tu widok; lada wietrzyk, który po równym zielonym krajobrazie przeciągnie, czy to od morza czy to od ładu, wprawia w ruch skrzydła tysiąca wiatraków, wszystkie kolorowe chorągiewki i flagi, wszystkie żagle na kanałach. Pomiędzy wiatrakami przesuwiają się bowiem żaglowne statki, których zrębu nie widać, tak że statki zdają się sunąć po suszy, bo zrąb statku zakrywają groble oku.

W ostępie tych grobli pasą się spokojnie krowy, a z każdej strony dolatuje furkotanie skrzydeł wiatraków, szum kamieni młyńskich, turkot pytlów, huk młocarni, tartaków wiatrakami pędzonych, a w końcu ciężkie przykre jakby sapanie i jęczenie pomp olbrzymich, wprawionych w ruch szaloną siłą wiatraków; zdaje się że tu ziemia znikła, że człowiek reguluje tylko stan wody a wiatr pracuje za niego i na niego. Miło to patrzeć rzeczywiście na dostatek i stateczną pracę całego tego kraju; pod dachem w stodole ładują się statki nabiałem mianowicie zaś: serami i masłem, mąką i krupami, całymi łąszkami owoców, jarzyn, wędlin, drobiu i wiązanek suchego paliwa, a odbiwszy od progu własnego dostają się wodą do Gdańska, do Kopenhagi i Sztokholmu w jedną stronę, a w drugą do Królewca, do Rygi i Petersburga; ten pastuch żuławski jest tedy i przemysłnym młynarzem, przekupniem, kupcem i żeglarzem na własną rękę, a nie zmieniając sposobu życia, powiększa z każdym rokiem zbiory. Żuławy są tedy wyjątkowym krajem, na poły morskim na poły lądowym, i dają korzyści, jakie z jednej strony żyźny stały łąd przy wytrwałej pracy daje, a z drugiej strony wywóz własnego towaru i otwarte morze.

Zamożność też tu wielka i przy obyczajach kmiecych bogactwo niezwykle; czystość budynków i domów holenderska; cała dolna część domu jest obszerną i starożytnym łądem urządzoną na gospodarski warsztat, gdzie się wszystko przyrządza i ładzi; czeladź trzymana w dostatku i karności pracuje dzień cały, ale nikt ani nie jest przeciążony pracą, ani nie trapi się pracując, bo praca nagradza się tutaj, a dłużej i lepiej pracuje ten, co nie jest upokorzony i udrezczony przy pracy. Jeżeli dół mieszkalnego domu jest rządym warszatem, w którym gospodarz i gospodyni krzątają się wiecznie, jeżeli tu się wszystko mieści, obok kuchni wielkie izby sypialne, jadalne i robocze: to piętro każdego domu, oddzielone osobnym wchodem i drzwiami, jest już mieszkaniem zamożnego człowieka. Tu już i kosztowne posadzki i obicia i najwytworniejsze meble, tu już rzeźbione starożytne szafy, zbiory porcelany i naczyń srebrnych, okazałe zwierciadła, kosztowne zegary, drzwi z palisandru i mahoni, firanki i pokrycia mebli z ciężkich jedwabnych materyi, na posadzkach kosztowne angielskie dywany, po ścianach obrazy i złoczone brzozy.

Na co się tylko dom możnego pana zdybyć może,

posiada tu Żuławiak, co się nie leni kosić własną łąkę i stać u steru na własnej berlince; ale tego piętrowego mieszkania nie zajmuje nikt, wiecznie czyszczone i sprzątane, otwiera się ono tylko na przyjęcie znakomitego gościa, w czasie chrzcina dziecka lub wesela, w czasie układów ślubnych lub pogrzebowej stypy. Wyżej jeszcze nad tem mieszkaniem szumią dopiero skrzydła wiatraku, poniżej tego domu na kanale stoi żaglowny statek, a kolorowe skrzydła wiatraku, chorągiewki, flagi i żagle wiatrem w ruch wprawione, snują się jak mary nocne po zielonym jak ruta obrazie. Mają wszakże i Żuławy straszne dla nich lata i chwile, są to wielkie wezbrania dolnej Wisły, które zagrażając przerwaniami grobel grożą zniszczeniem krainie. Zniszczenia te byłyby daleko dotkliwsze, gdyby się po powodzi nie było czem dźwignąć z upadku. Kapitał wszakże powrócił tu już do ziemi, a po klęskach powodzi podwaja się usilność i czynność właścicieli żuławskich posiadłości.

We dwa lata po takiej powodzi byłem na Żuławach i objechałem Malborskie i Gdańskie Żuławy, a wszystko już było w takim stanie, iż śladu po powodzi nie zostało, chociaż podanie klęski było bardzo żywe. Aby można pojąć, co się tu dzieje w czasie wezbrania na dolnej Wiśle, opiszę owo pamiętne wezbranie, po którym we dwa lata byłem na Żuławach i okolicy na dolnej Wiśle położonej.

Poniżej miasta Gniewa rozdziela się Wisła na dwa ramiona, z których prawe odtąd Nogatem jest zwane, na Malborg płynie i do Fryskiej zatoki dwudziestoma odnogami wpada; lewe zaś pod „Głową“, czyli po staremu językiem flisackim mówiąc, pod „Królewską przyłbicą“ raz jeszcze rozdzielone, sięga jedną odnogą, którą Leniwką nazywają, na zachodzie pod Myndą morza, drugą styka się na wschodzie pod Tregonot z zatoką Fryską, i bywa tutaj Szarpawą, a niekiedy także starą lub Elbląską Wisłą zwane.

Szarpawa (Skarbowka) dzieli się na ujściu na czternaście ramion i jest znacznie większą odnogą Wisły, ale nurt Leniwki głębszy bo kopany.

Na rozwarciu tych ramion legły trzy wyspy; między Nogatem a Szarpawą położona wyspa jest nazwana Żuławami większemi czyli Malborskiemi; między lewym brzegiem Wisły poniżej Gniewa, Leniwką i Moltawą położoną wyspę nazywają Żuławami mniejszemi czyli Gdańskimi, tę zaś, która na widłach Szarpawy i Leniwki klinem siadła, a od północy morzem jest oblana, nazywają Mierzeją. Mierzeja jest piaszczystem odpłuczyskiem fal morskich, i została w r. 1200 nad poziom morza wyniesioną w czasie długo-trwałej burzy na Bałtyku; szerokość jej wzrasta od 400 — 4,000 sążni. Żuławskie zaś ziemie powstały z sztucznego ujęcia brzegów Wisły tamami z bagna; bo dawniej rozlewała się Wisła na ujściu, od

Gniewa począwszy aż ku morzu, szeroką powodzią aż po Kwidzynę; ztąd jest dolina Wisły odchodzącym morskiem, i Żuławy są tylko sztuką wodom wydarte. Nogat mając bieg o trzecią część krótszy od Leniwki, tem samem więcej ma spadku, i przestrzeń od Głowy do ujścia Leniwki, o pół mili poniżej Gdańska pod Myndą, zajmuje półszostej mili, na niej ma odnoga 11³/₄ stóp spadku. Ztąd zabiera Nogat największą część wody, a Leniwkę, którą tak flis od wolnego spadku nazwał, zalegały coraz większe piaski, a wiosną robiła kra spory na zakrętach i zagrażała Żuławom zniszczeniem. Od połowy stycznia 1840 r. sparły się lody z średniej Wisły naniesione w łożu Leniwki około rybackiej wioski Neufahr, w miejscu gdzie Mierzeja jest najwęższą. Równocześnie utworzył się zator z kry na początku Szkarpawy i Nogaty. Wisła nie mając w ten sposób kędy ulać wód swoich, wezbrała w brzegach i zagrażała zniszczeniem całej okolicy, wzięwszy całą potęgą swych wód wagę na Leniwkę. Aż 1. lutego 1840 r. w nocy wyrznęła się nowem korytem wprost ku morzu około wioski Neufahr, przerwawszy zasy ruchomego piasku Mierzei na 120 stóp wysokie. Długość nowego biegu zajmuje 400 sążni, głębokość nowego warty wynosi od strony łądu stóp 40 a od morza 17 — 20 stóp; szerokość 300 sążni na początku, a 1000 przy ujściu. Największe okręty i całe floty mogą chodzić takim wartem, i spadek wód jest teraz rańniejszy; Żuławom nie zagrażają więcej powodzie i spory kry do tyła, jak przedtem, przerwaniem grobel, ale Gdańsk zostanie z czasem na suszy, lub będzie musiał kopać kanały ku Wiśle i zasilać je wodami Moltawy i małej Radoni, bo dawne łoże Leniwki będą coraz większe zamulały piaski, a ta sama ilość wody nie pokryje potrzeby dawnej i dzisiejszej odnogi. Pisałem to przed bardzo wielu laty zaraz po owem sławnem przerwaniu Mierzei dnia 1. lutego 1840 r., a to com wówczas przewidywał, stało się w istocie. Gdańsk pozostał na suszy i jest tylko dziś kanałem połączony z morzem. To nowe koryto Wisły nie ma dotąd nazwiska, a że się niem Wisła tak poczciwie i rażno ku morzu przebrała, nazwijmy ją tutaj „Śmiałą Wisłą“.

Otóż to były przyczyny pamiętnego wylewu i wezbrania na dolnej Wiśle w roku 1840, które znać potrzeba, by ocenić niebezpieczeństwo, jakie zagrażało Żuławom, gdyby Wisła nie była przerwała Mierzei i nie utworzyła sobie nowego ujścia ku morzu. Podróżując po tej okolicy odszukałem rybaka, który pierwszy tem nowem ujściem Wisły od wioski Neufahr przepłynął na morze i w krótkim czasie podał wiadomość do Gdańska o szczęśliwym przerwaniu Mierzei; wiadomość ta uszczęśliwiła tak i Gdańskich i Malborskich Żuławian, iż wyznaczono mu bardzo znaczną dożywotnią pensję, a nadto jeszcze złożono mu wielką sumę pieniędzy, że już w tym czasie, kiedym go poznał, nie był on ubogim rybakiem, ale zamożnym właści-

ciem berlinki, i posiadał na Żuławach dom własny, opuszcniejszy ubogą wioskę rybacką.

Był to człowiek bardzo rozgarnięty i humorystycznego usposobienia; kiedym go tedy wypytywał o szczegóły owej pamiętnej nocy, rozjaśniła się twarz jego jak żołnierza, który prawi o wygranej bitwie. Poznałem się z nim w piwnicy gdańskiej przy śniadaniu. Widzisz waćpan — rzekł do mnie po kilku kieliszkach Xeresu, — żebyś waćpan to zrozumiał, co ci tu opowiem, trzeba naprzód wiedzieć o tem, że każda Żuławianka ma ócz dwoje, a każdy Żuławiak nos jeden. Otóż Żuławianka patrzy jednym okiem wiecznie na zegar, a drugim okiem do garnka, bo wszystko musi być na minutę gotowe i podane; każdy zaś Żuławiak trzyma nos na wodoskazie i patrzy jak bocian milcząc na wodę, w miarę zaś tego jak się woda podnosi, spuszcza się nos coraz potężniej, a jak już grzbietu grobli sięga woda, wówczas dopiero z bydłem na statki a z żoną i dziećmi na dachy; pieniądze że są w złocie i srebrze a w głębokiej piwnicy schowane, nie lękają się powodzi i doczekają się zawsze lepszych czasów. Otóż woda podnosiła się na Wiśle od tygodnia coraz wyżej i sięgała już do dwudziestu dwóch stóp nad zwykły stan Wisły, a że najwyższe groble żuławskie wznoszą się do 24 stóp, zwisły nosy bogatych Żuławian i sięgały już wody jak dzioby bocianie.

Póki dzień to jeszcze pół biedy, ale jak noc nadchodziła, rosła trwoga w całej okolicy, i coraz wyżej przywiązywano czółna przy palach u domów. Całe Żuławy były podobne do wielkiego obozu, bo po groblach palono wielkie ogniska, aby się na nie kierować w czasie potrzeby i widzieć nawet nocą, czy się woda wznosi czy opada; latarnie migały się około każdego wodoskazu, i we dnie tylko kładli się ludzie do snu. Ogniska te nakładano już z łoża, i zdało się, że lada chwila cały świat pójdzie pod zatop; wszystkie pompy były zalane; na łąkach, nawet otoczonych nieprzerwanemi groblami, podnosiło się zwierciadło wody coraz wyżej i rozlały się całe jeziora w miejscu, gdzie nie dawno łąki jeszcze były; bydło na statkach ryczało straszliwie, ludzie ledwo już żyli od trwogi. Tymczasem przychodziły sztafety z Krakowa i Warszawy co chwila, że lody na górnej Wiśle zniosło, i że kra niepamiętna idzie i wielkie spory robi.

Nie była to pomyślna wiadomość, bo kry własnej mieliśmy pod dostatkiem, a z przybytkiem nowej niebyło ratunku dla Żuław. Gdańsk i możniejsi właściciele tak Gdańskich jak Malborskich Żuław utrzymywali wielkim kosztem pocztę łódek, które co chwila donosiły wiadomości o stanie wody i krach, jakie wielkim zatorem siadły na początku Nogaty, Szkarpawy i pod naszą wioską Neufahr, co sprawiło, że cała powódź wzięła przewagę na łożu Leniwki.

Wielkie tam były zatory, ale niczem w porównaniu zatoru, który się utworzył pod naszą wioską rybacką na

Leniwe, i na którym się cała powódź sparła; niebezpieczeństwo było wielkie dla tych pocztowych łódek, i ostatnich dni płacono już każdą wiadomość po trzy dukaty złotem, bo ledwo 4 ludzi mogło kierować łódką, a nadto trzeba się było przerabiać pomiędzy pojedynczemi krami, które ciągle jeszcze woda niosła zabierając je teraz już z powyższych brzegów, na których uprzednio były siadły. Noc zapadła, żona zaklinała mnie na Boga, abym pozostał w domu, dzieci płakały, ale mnie coś gnało na wodę. Zostawiłem tedy żonie kilkudniowy zarobek w złocie, a że rybacka chata nasza leżała wysoko bardzo na brzegu oparta o piaszczysty pagórek zasy, wiedziałem tedy, że żadna woda jej tu nie dosięgnie, chyba by Bóg nowy potop zesłał na świat. Więc kazałem żonie palić przez noc całą ognisko przed naszą chatą, a sam po wieczery wzięwszy manierkę holenderskiej jałowcówki, którą sobie przywozłem z Gdańska, kapeczuk dobrego tytoniu i ogień pewny z sobą, wyruszyłem jeszcze z trzema towarzyszami na wody. Nie wiem co mnie parło, ale znać już szczęśliwa gwiazda moja mnie wiodła, bo kierowałem łódkę ku zatorowi kry, która całą szerokość rzeki zaległa jedną lodowatą skałą. Noc była straszna i ciemna, zdala już szumiały wody na zatorze, i kry nowe się tarły i gwizdały przykro, które świeżo na zator niosła woda.

Była chwila jakiegóś odurzenia i zgłupienia, przestaliśmy robić wiosłami; ale łódź naszą, która była łodzią morską rybacką z dętymi bokami, niosła woda na zator, choć nikt wiosłem nie robił.

„Kra nas zmiele na zatorze!“ — krzyczał jeden z towarzyszy moich; „zawracaj na sterze“ — krzyknął drugi — ale już było za późno, bo w tejże chwili poczęła kra pękać i strzelać jak gdyby z dział bito, a równocześnie rozległ się straszny huk i szum w powietrzu, jak gdyby się cała ziemia trzęsła; po kilku takich uderzeniach poczęła straszliwie bujać nasza łódka, a to tak bardzo, że i na otwartem morzu w czasie największej burzy nie powstają większe fale i nie rzucają bardziej łódkę.

Aż dotąd płynęliśmy silnie niesieni powodzią ale po spokojnem zwierciadle, teraz rozwarła się morska topiel szumna, fale były wysoko i rzucały łódkę gwałtownie; chcieliśmy obrócić i płynąć pod wodę, ale do tego nie było już siły. Więc puściliśmy się z prądem wody i fali, oczekując tego, że się lada chwilę o zator rozbijem; ale kra przerwała Mierzeję w najwęższym jej pasie, i po kilkunastu minutach wyniosła nas gwałtowność powodzi na otwarte morze, i tu do razu uspokoiły się fale. Gdyśmy nowy wyłom Mierzei pominęli, gwałtowny prąd odniósł nas daleko na stronę, a okrążywszy morzem na kilkadziesiąt węzłów marynarskich, przybiliśmy na mieliźnie do lądu Mierzei od strony morza. Tu wyciągnąwszy łódkę na piasek przeprawiliśmy się przez piaszczyste pagórki Mierzei do naszej wioski napowrót pieszo, bo strach było

w gardło tej nowej odnogi, która z całą gwałtownością krę i powódź niosła, płynąć na przewrót pod wodę. Po ognisku kierowaliśmy się do chaty; tu przybywszy, przesiadliśmy się w łódź nową, i ja to byłem mój panie, który Gdańskowi i Żuławom przyniosłem pierwszy wieść o przewraniu Mierzei, o nowem ujściu Wisły i o tem, że niebezpieczeństwo minęło. Nie darmo tedy parło mię tej nocy na wodę, bo zarobiłem sobie na dobry kawałek chleba, i dziś nie łowię śledzi ale piję Xeres.

Gdy wody opadać poczęły na Wiśle, dopiero wówczas poczęła powódź wód wewnętrznych przerywać i uszkadzać groble, ale obojętni na to patrzyli już Żuławianie znajdując się bezpiecznymi. Zapleśniałemi talarami, które z piwnic teraz wydobywać musieli, nie trudno było im zatkać dziury w groblach; dziś jest już wszystko znowu naprawione, zadarnione i obsadzone na nowo, i niktby się nie domyślał, co to kosztowało i jakie spustoszenia porobiła owa powódź.

W tej samej gdańskiej piwnicy, w której słucałem powieści o nowem ujściu Wisły, zbierało się towarzystwo, które chciało zrobić wycieczkę do morskich kąpiel Sobótki; bohater naszej powieści miał nas tam odstawić na swojej berlinie. Jakież było zadziwienie moje, gdy nad drzwiami gościnnej kajuty wyczytał napis, który świadczył niejako o losach właściciela berlinki: „Unglück des Reichen bringt dem Armen Segen“, a sternik nasz ujrawszy zadziwienie moje, gdy ten anti-socyalny napis przeczytał, rzekł do mnie żartobliwie: „Woda reguluje najlepiej stosunki ludzkie; a teraz odbijem od brzegu na wodę.“

Kilka dni przebyłem w takim ozdobnem pomieszkaniu piętrowem żuławskiego domu. Cóż to za osobliwy widok, patrząc z piętra na ten krajobraz; jaki niczem nie zamącony i nie zakłócony żywot tych ludzi pracy i pokoju, co za niezamącona cisza prócz szumu skrzydeł wiatraków, cisza mówię moralna i równowaga ducha, którym przy wszelkich nabytkach cywilizacji człowiek tu nie odbiegł od prostoty ziemianina, liczącego się z potęgami natury!

Sobótka należy do najwytworniejszych kąpiel morskich; ozdobne tu bardzo wille bogatszych kupców i właścicieli miejscowych zamieniły ten brzeg morski w uroczą krajinę, chociaż miejscowość nie sprzyjała bardzo temu; wszakże co siła kapitału i człowiek zrobić mógł, powiodło tu się z bardzo dobrym skutkiem.

Wracając z Pomorza Gdańskiego odwiedziłem raz jeszcze gospodarzy moich na Żuławach. Wieczór był uroczy, jasne słońce chyliło się ku zachodowi, długie cienie wiatraków, starych drzew i żaglowych statków przeciągnęły się po zielonych łąkach i groblach złamane; cała drużyna stała na grobli niedaleko domu oczekując na przybycie bydła. Po wszystkich groblach każdej własności ciągnęły krowy jedna za drugą, poważnie nie pędzone od

nikogo ściągały się na nocne leże we wszystkich kierunkach całego krajobrazu, przechodząc ostrożnie po kładkach i mostkach, na odgłos ligawek i pasterskich rogów.

Jedyna to chwila, gdzie każdy wolny od pracy rozgląda się swobodnie po świecie i z uśmiechem spogląda na powrót bydła, które się tu tak zna z miejscem i człowiekiem, jak człowiek zna się z wagą wody i kierunkiem tych roboczych wiatrów.

Trudno zapomnieć na ujściu Wisły o naszych flisakach i naszych orylach, o tych obyczajach flisaków, którzy wszędzie przybijają do brzegu, gdzie się tylko wznosi kapliczka św. Barbary, prosząc o śmierć szczęśliwą i dzwoniąc w dzwonek św. Werwarki. We wszystkich kościołach, które po brzegowiskach lub zabrzeżach Wisły siadły, gdy zadzwonią na „anioł pański“, zdejmują czapkę flisacy na galarach płynący i odmawiają modlitwy; a po modlitwie niespornej, po przedzwonieniu na „anioł pański“, uderza serce dzwonu w znacznych przestankach w jedną kresę tylko, i wówczas odmawiają flisacy na wodzie, a miejscowi ludzie na brzegu modlitwę za dusze wiernych zmarłych, którzy potonęli w Wiśle, i za dusze, które znikąd ratunku nie mają. Nic nie dodaje więcej ruchu i malowniczości tym widokom Wisły, jak te statki ładowne, które się o sto mil i więcej wodnej drogi ściągają ku Wiśle, i już na dolnym jej biegu pokrywają nieraz całą jej wstęgę szeroką; zdala wyglądają te galary jak drobne spławki na wodzie, które w cieniu wiklin giną a na zakrętach dopiero Wisły wypływają na otwarte tonie; gdzieś jeszcze tak daleko były, a tu już mijają brzeg prawie, i policzysz już ludzi, i rozpoznasz stroje i twarze w przelocie galaru, spławu lub wiciny, słychać nawet gwar na galarze, albo w przelocie usłyszysz nawet zwrotkę pobożnej lub światowej pieśni:

Flisaczkowa żona
Siedzi sobie doma;
A flisaczek, nieboraczek
Robi wiosłem jak robaczek,
Płynie — do Torunia!

- A zkad ludzie? — wołają głosy od brzegu.
- Krakowianie od Krakowa! — i pozdrawiają się w Bogu.
- Szczęśliwa droga.
- A wam daj Boże brzeg szczęśliwy.
- Zkad to Bóg prowadzi?
- Od Radymna, Jarosławia — wołają z promu powróźnicy.

— A wy zkad? — Ci krzyczą — od Źłanowa, ci — od Niepołomic, ci — od Sandomierza — a wszystkim jedna i daj Boże droga szczęśliwa. Źwik flis lub stary szyper wskazuje po brzegach kościoły i zamki, wsie i grody, bo to już nie „pierwsza jego woda“; ale biedny fryc, dla którego „pierwsza woda“, bo mu grożą strachami, smokami i czarownicami po ostrowach Wisły. Pytają, czem się widmie

okupi, jak się syrenie wyprosi, gdy go chwytać będzie do podwodnych zamków i pałaców; więc biedny fryc wysługuje się wszystkim i patrzy, co się to z nim będzie dziać na tej wodzie; nieraz odstąpi szpérkę z grochem, nieraz czarkę wódki, by się wkupić do cechu orylów, ale oni i grożą i straszą, że go Litwakom na ujściu Narwi sprzedadzą, albo jeżeli się im okupi, to go frycować będą na Pomorzu. Miejscem frycówki jest znowu ona góra pod Gniewem, tu każdy chłosta fryca cholewą zdjawszy jeden but z nogi, bo tu się Wisła dzieli.

Więc znaj, gdzie droga pod Gdańsk aż do drąga,
A gdzie prowadzi Nogat do Elbląga.

I po tych opałach opowiadają frycowi legendy, zkad się to wzięło, że się Wisła tu dzieli. Była księżna polska, zwała się Wandalą; na dwór jej prosząc się o służbę przybył brat z siostrą, brat zwał się Bugiem i przybył z Wołynia, siostra zwała się Narwią i przybyła z Litwy. Dobrze im się działo na dworze tej księżnej; ale Narew urosła w dumę i chciała być wdzięczniejszą i gładszą od samej koronnej pani; zdały się tedy na sąd góry, pod którą razem stanęły; góra wydała sąd, że pani koronna piękniejsza od służebnej panny; więc obrażona Narew rzuciła się w bok i jest dziś Nogatem zwana, rozgniewana bardzo za sąd ten: a Wandala poszła swoją drogą do morza; miejsce zaś sądu nazwano odtąd Gniewem.

Z ujściem Narwi dostaje się spław i żegluga Litwy na Wisłę, i obyczaje orylów przybierają tu coraz więcej różnaitości, bo różnej gwary, różnych strojów i pieśni oryle przybijają tu na noc do jednej przystani.

Okazałym jest ten widok statków ładownych, które bogaćtwo ziem odległych na brzegu morza składają; ale zupełnie odmiennym jest widok tych flisaków i oryli, kiedy bandami pieszo łądem wracają do domów, i odebrawszy zapłatę na flisie zarobioną, nakupiwszy gościńców dla krewnych i swajaków, wracają z pieśnią do domu. W całej drodze przygrywa im grajek na skrzypeczkach zakupionych w Gdańsku.

Mijaj flisie grody, kościoły i dworki,
Bo na bursztynowe czekają paciorki.
Mijaj flisie Wisłę, bo ona nie wróci,
A tam po orylach cała wieś się smuci.
Przeorałeś flisie Wisłę aż do Gdańska,
To teraz przegrywaj na skrypeczkach zpańska,
Za pierścionki złote i za morskie spinki
Przytulisz tam głowę do ciepłej pierzynki.

Tak grając i śpiewając wracają flisacy i oryle od morza; z wiosek i z grodów wychodzą ludzie i przypatrują się tym bandom; a choć to od morza daleko, ubywa jakoś drogi z dniem każdym, bo i świat boży bawi człowieka, a po skrzypkach grajka i po pieśni domowej zdaje się, że się dom przybliża.

ДМИТРИЙ СМОЗВАНЕЦ И МАРИНА МНИСЧОВА.

Rycina „Maryna Mniszcówna przy zwłokach syna swego“, która rozpoczyna szereg ilustracji historycznej treści w tym nowym roczniku „Strzechy“, jest kopią, wykonaną przez znanego zaszczytnie malarza artystę, Karola Młodnickiego, z jego własnego obrazu olejnego, który przed kilkoma laty przychylnego doznał przyjęcia na wystawie sztuk pięknych w Krakowie. O zaletach obrazu tego pod względem sztuki wyrzekła już w swoim czasie sąd krytyka artystyczna. Nie jest to rzeczą naszą powtarzać ją tutaj albo prostować, chcemy bowiem zwrócić uwagę czytelników naszych tylko na samą treść obrazu, na przedmiot dziejowy, który sobie obrał artysta. Jest to ostatnia chwila jednego z owych dramatycznych epizodów, w które tak obfitują dzieje nasze, że trzeba tylko, aby się ich dotknęła ręka mistrza, a powstaną z tego materiału całe serye najwspanialszych dramatów i tragedyi. Korzystamy więc chętnie z podanej nam przez artystę sposobności, aby w poniższem opowiadaniu przypomnieć naszym czytelnikom w krótkim zarysie awanturcze dzieje Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszcówny, które podały bogatą i wdzięczną treść Bułharynowi do powieści, Schillerowi do dramatu, a Prosperowi Merimée do studyum historycznego.

W czasach kiedy węzły ustaw poczynają się zwalniać, kiedy władza jednego, dzierżąca rządy państwa, rozchwiewa się w swoich podstawach, kiedy natomiast różnorodne żywioły wynurzają się z gminu i występują do walki, a zdania i widzimisię stronnictw wychodzą na jaw i zyskują choć chwilową przewagę, ścierając się z przeciwnymi sobie zasadami: — w takich czasach uwydatniają się tem wyraźniej pojedyncze charaktery i znajdują tem obszerniejsze pole do działania. W powszechnej harmonii, opisanej ściśle prawami, gubią się jednostki, bo tam ogół działa i nadaje kierunek dziejowemu pochodowi, unosząc w powszechnym prądzie wolę jednostek; w przeciwnym zaś stanie rzeczy powstają przemożni ludzie i wiodą za sobą liczne stronnictwa, ulegające ich moralnej lub fizycznej przewadze. Takie czasy są epoką, w której jak z jednej strony najszlachetniejsze budzą się dążności, najzacniejsze chęci i zamiary, najpiękniejsze wykwitają czyny, tak z drugiej znowu knują skrycie podłe żądze, duma, zemsta i nienawiść, sięją niezgodę nikczemne chucie, osobiste widoki, podkopując dobro powszechne i pomyślność państwa. Obok wzniosłych czynów poświęcenia i miłości ojczyzny poczyną brać górę zgubna prywata i wichrzy w narodzie. Taką epokę w Polsce rozpoczął wiek XVII i rządy Zyg-

munta III, a jednym z najtragiczniejszych jej objawów głośna sprawa Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszcówny.

Było to około połowy roku 1603. W Moskwie już od lat pięciu po śmierci Fedora Iwanowicza, ostatniego Rurykowicza, panował Borys Godunow, utorowawszy sobie drogę do tronu zamordowaniem w Ugliczu młodszego brata Fedora, carewicza Dymitra. Od pamiętnego dnia dokonanego w Ugliczu morderstwa i strasznej rzezi, którą wzburzona ludność tego miasta pomiędzy mniemanymi mordercami carewicza wyprawiła, upływał już rok dwunasty, gdy Godunowa zatrwożyła wieść, że w Polsce pojawił się nagle jakiś człowiek nieznanego pochodzenia, wydający się za carewicza Dymitra.

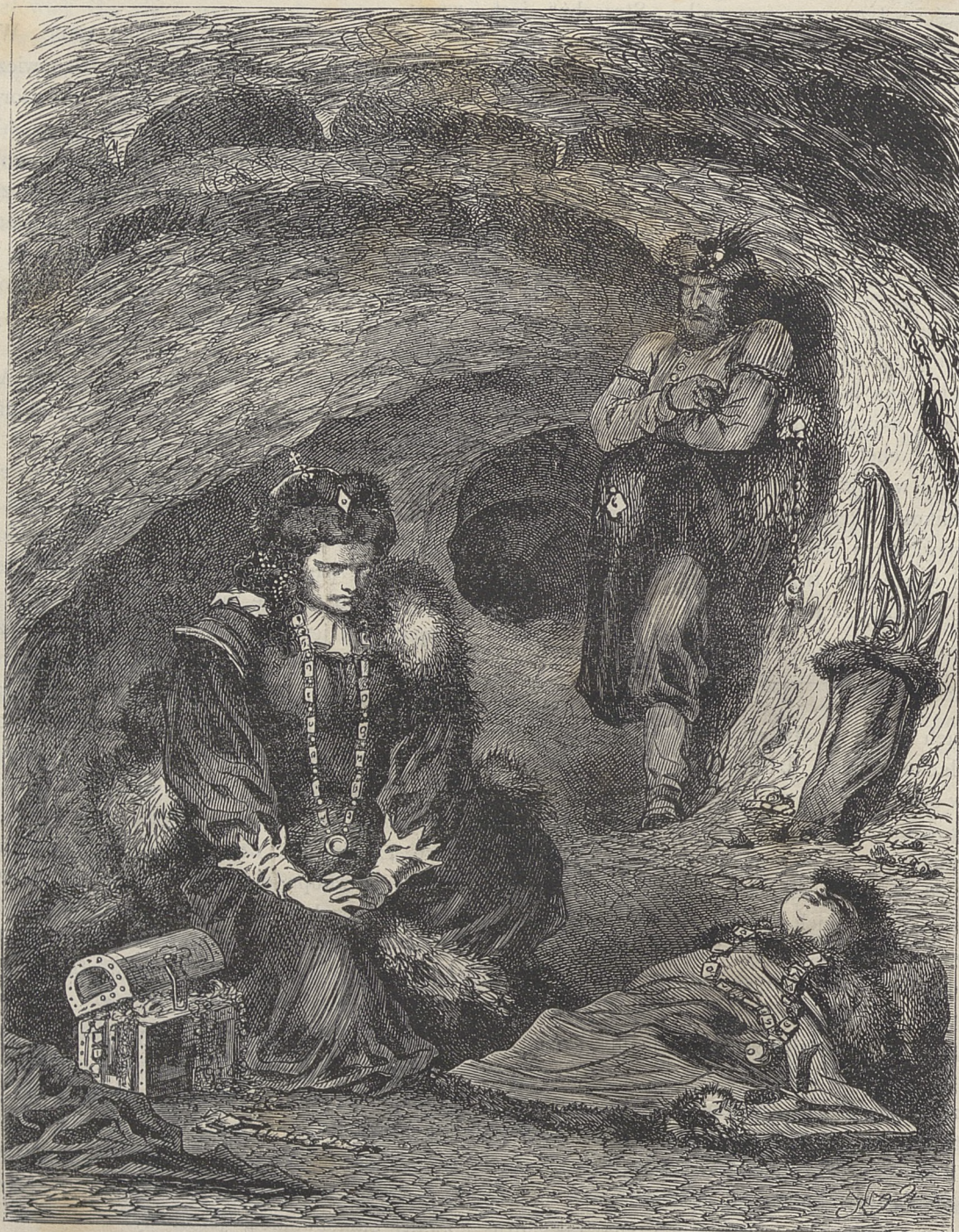
Pomiędzy służbą u dworu księcia Adama Wiśniowieckiego w Brahimie znajdował się młodzian około 22 lat liczący. Pewnego dnia, gdy książę był w kąpeli, dopuścił się ów młody sługa jakiegoś przekroczenia, czem oburzony książę dał mu policzek i zelżył go ostatnimi słowami. Młodzieniec wzruszony do łez doznana obelgą zawołał: „Ach książę, gdybyś wiedział, kto ci służy, pewniebyś się tak ze mną nie obchodził.“ Na zapytanie księcia kim jest, zeznał, jakoby był carewiczem Dymitrem, synem Iwana Groźnego, uratowanym cudownym sposobem przez swojego lekarza Simona od zabójczego zamachu Borysa. Na dowód swojego zeznania pokazał pieczęć z herbem i imieniem carewicza i krzyż drogiemi kamieniami wysadzany wielkiej wartości, który otrzymać miał od swego chrzestnego ojca Iwana, księcia Mściśławskiego. Podobieństwo rzeczywiste czy urojone do carewicza dodało tem więcej prawdopodobieństwa zeznaniom młodziana, a księciu Adamowi wydały się te pozory tak niezbitym dowodem, że niezwłocznie byłego sługę swojego w najkosztowniejsze, jakie miał, przestroił szaty i królewskie honory świadcząc mu począł.

Takie było pierwsze wystąpienie Dymitra, zwanego Samozwańcem, którego prawdziwe pochodzenie pozostanie podobno na zawsze zagadką historyczną. To pewna, że tak książę Wiśniowiecki jak i wszyscy inni stronnicy Samozwańca mieli go za istotnego Dymitra Iwanowicza, a potwierdzają spółcześni i bliskocześni analiści, że tak zwany Samozwaniec, jeżeli był fałszywym Dymitrem, to przynajmniej wybornie umiał odgrywać rolę carewicza i z podziwienia godną zręcznością zastoso- wywał się i korzystał z okoliczności.

Wiedział też Dymitr, komu naprzód odkryć tajemnicę swojego pochodzenia, i nie mógł lepszemu nad ks. Wiśniowieckiego zrobić wyboru. Wywodzący swój ród od

Jagiellonów, pan niezmiernie rozległych włości graniczących z państwem moskiewskim, skoligacony z najznakomitszymi w Polsce i Litwie domami, a majątkowo cokolwiek podrujnowany, odziedziczył księżę Adam po przodkach swoich chętkę prowadzenia polityki na własną rękę

żądańsza zdarzyć się sposobność do zaspokojenia swoich ambitnych zachcianek nad to niespodziewane odkrycie w służbie swoim potomka carskiej rodziny Ruryków i zostania jego opiekunem, i nie mógł też nawzajem Dymitr gorliwszego dla siebie znaleźć protektora. Wkrótce cała



Maryna Mniszchówna przy zwłokach syna swego. (str. 15.)

i mieszania się w sprawy sąsiednich państw, który to zwyczaj zgubny dla sprawy ogólnej Rzeczypospolitej stawał się niestety coraz powszechniejszym po dworach magnatów polskich XVII wieku. Nie mogła więc księżciu po-

Korona i Litwa dowiedziała się o cudownem uratowaniu carewicza Dymitra i o pojawieniu się jego w domu księcia Adama, który niebawem sprowadził swego dostojnego pupila do Załoziec na dwór brata swojego księcia Konstan-

tęgo. Odwieczna nienawiść Polaków i Litwinów do Moskwy, spotęgowana wojną trwającą od czasów Aleksandra, a przerywaną tylko krótkotrwałymi rozejmami, upatrywała w Dymitrze narzędzie do uzyskania stanowczej nad caratem przewagi, a podnosząca się podówczas w Polsce z całą potęgą reakcja katolicka spodziewała się zjednać sobie w nim potężnego apostoła i za jego pomocą nawrócić szyszmatycką Moskwę. Na Dymitra zwróciła się tedy powszechna uwaga; dwór Konstantego Wiśniowieckiego roił się tłumem dostojnych gości, którzy spieszyli powitać carewicza i ofiarować mu swoje usługi ku odzyskaniu ojcowskiego tronu. Ale ponieważ zamek założeniecki nie wydawał się dość bezpiecznym schronieniem dla carewicza, więc troskliwi o niego książęta Wiśniowieccy wywieźli go w głąb Polski na dwór Jerzego Mniszcha, wojewody sandomirskiego, teścia księcia Konstantego, w którym Dymitr znalazł o tyle żarliwszego stronnika swojej sprawy, o ile interesa własne wojewody ściślej wkrótce się związały z interesami Samozwańca.

Młodsza córka pana wojewody, Maryna, była jeszcze niezamężną, a słynęła z urody i wytwornego zachowania. Nie dziw więc, że Samozwaniec zwrócił swe serce ku pięknej wojewodziance i namiętną ku niej rozgorzał miłością. Mniszech, spostrzegłszy budzącą się w sercu carewicza namiętność, nietylko nie myślał przeszkadzać zbliżeniu się jego do córki, lecz owszem umyślnie zatrzymał go dłużej na dworze swoim w Sandomierzu. Jeżeli dla magnatów polskich lenniczy tron gospodarów multkańskich tyle miał ponęty, że nie wahali się dla zdobycia go sobie kłaść niejednokrotnie nietylko całe mienie swoje, lecz owszem nawet życie na kartę:—więc nie można się dziwić, że Mniszech, znany z dumy i z niezbyt wielkiej skrupulatności w obieraniu środków prowadzących do celu jego ambicji, gotów był dla nadziei osadzenia córki na tronie carów narazić się na utratę zrujnowanej już i tak znacznie fortuny. Maryna nie patrzyła także obojętnym okiem na Dymitra. Nie zdaje się rzeczą prawdopodobną, żeby Dymitr powierzchownością swoją był zdolny zwrócić na siebie uwagę pięknej i wytwornej wojewodzianki. Nizkiego wzrostu a barczysty, jasny blondyn o małych oczach bladoniebieskich, szerokim spłaszczonym nosie i o wystających kościach policzkowych, niezarastający prawie wcale, istny mieszaniec krwi tatarskiej z słowiańską, nie był Dymitr bynajmniej młodzieńcem do zakochania.

Ale za tą niezachwycającą wcale postacią, na polu tatarską na polu słowiańską, jaśniały w perspektywie tronu i korona carska, i ta to nadzieja tronu i korony przyciągała magnetyczną siłą do Dymitra Marynę, nieodróżniającą córę swojego ojca. Jakoż tolerując miłostki Dymitra z córką, nie stracił pan wojewoda ani na chwilę właściwego celu z oczu i przekonawszy się, jak mniemał, dowodnie o szczerości zeznań Samozwańca, rzucił się z całym za-

pałem roznamiętnionej ambicji do torowania drogi do tronu kremlńskiego jemu, a z nim i córce swojej.

Robiono tedy najprzód zabiegi, aby uzyskać jeżeli już nie więcej, to przynajmniej uznanie praw do tronu Dymitra przez króla Zygmunta III, i udano się w tym celu do nuncjusza papieskiego, Klaudyusza Rangoni, jako do człowieka, który wywierał największy wpływ na pobożnego Zygmunta. Nuncyusz, mniej skłonny do entuzjastycznych uniesień, niż panowie polscy, nie odpowiedział zrazu na listy Dymitra. Przebiegły Samozwaniec z pomocą swoich protektorów wynalazł jednak środek na twardego biskupa. Za pośrednictwem Mniszcha wszedł on w porozumienie z Jezuitami sandomierskimi, rozwinął przed nimi swoje liberalne zasady, objawił szczerą chęć przejścia na łono kościoła katolickiego, i jak pana wojewodę nadzieją honorów i majątku, tak złowił pobożnych ojców nadzieją nawrócenia szyszmatyckiej Moskwy. Polecony i poparty przez OO. Jezuitów, otrzymał Dymitr nakoniec uprzejmy list od nuncjusza z zaproszeniem do Krakowa, gdzie w obecności nuncjusza samego i nielicznych świadków wyrzekł się szyszmy i przeszedł na łono kościoła katolickiego. Żeby jednak nie utrudniać Dymitrowi odzyskania tronu i nie zrazić ku niemu przywiązanych do prawosławia Moskalów, zachowano akt ten w najgłębszej tajemnicy, i Dymitr jak dotąd tak i nadal wyznawał publicznie religię szyszmatycką. Niezwłocznie potem otrzymał nowonawrócony audyencyę u króla, który uznał go synem Iwana Groźnego, wyznaczył mu 40.000 florenów pensyi, i jako swojemu gościowi i przyjacielowi pozwolił mu przyjmować rady i usługi od swoich poddanych. Było to niby bardzo wiele, a w rzeczy bardzo mało. Król nie chciał brać sam ani udziału w sprawie Dymitra, ani nie przyjmował na siebie żadnej odpowiedzialności; wyznaczoną pensyę miał mu wypłacać Mniszech z sumy, którą był dłużen królowi, a pozwolenie przyjmowania rad i pomocy od Polaków było tylko formalnością, gdyż przy ówczesnej bezwładności byłby Dymitr i bez tego pozwolenia królewskiego mógł odbierać rady i posługi od szlachty polskiej, jeżeliby tylko ta szlachta dawać mu je chciała. Wszelako uznanie Samozwańca prawym synem Iwana przez króla cenili sobie wielce tak Dymitr jak Mniszech.

Jakoż gdy nadto wszystko przyszły jeszcze od agentów Dymitra wiadomości, że carewicz coraz liczniejszych w Moskwie zyskuje stronników, uważał pan wojewoda sprawę Samozwańca za pewną przynajmniej o tyle, żeby się już można odważyć na zawiązanie z nim jawnego i ścisłego przymierza. Dnia 20. maja 1604 spisany żędy został układ małżeństwa pomiędzy carewiczem Dymitrem a Maryną Mniszechówną: Dymitr zapewnił swojej przyszłej żonie miasta Nowogród i Psków, pozwolił jej wyznawać jawnie religię katolicką i mieć swoich biskupów i księży katolickich w Nowogrodzie i Pskowie, aż dopokądby, po-

dlug swojego zyczenia, nie sprowadzil całej Moskwy do pojednania sie z kościolem rzymsko-katolickim, nakoniec zobowiazal sie wypalac swemu przyszlemu teściowi zaraz po objęciu tronu 1,000.000 zł. polskich. Przewrotny pan wojewoda postawil na koncu układu szczegolniejszą klauzulę, snac na wypadek, gdyby zmienna fortuna zawiodła jego carskiego zięcia: „Ślub ma się odbyć nie gdzie indziej, lecz w Moskwie, i będzie miał wagę tylko na rok, jeżeli po upływie tego czasu ojciec i córka nie zezwolą na odnowienie małżeństwa.“ W kilka dni później podpisal Dymitr inny akt, mocą którego ustępowal Mniszechowi Smoleńsk i całą Siewierszczyznę.

Na tem skończył się niejako pierwszy akt tego awanturniczego dramatu. Mniszech wplątany stanowczo nie mógł się już cofnąć, zastawił swoje dobra i kosztowności i pociągnął za sobą całą rzeszę swoich adherentów i tłum awanturników, na których Polsce owych czasów nie zby-

wało wcale. Dymitra ajenci donieśli o rozruchach w Siewierszczyźnie i o jawnym buncie znacznego oddziału kozaków przeciwko Borysowi. Pierwsze najtrudniejsze przeszkody były złamane. Samozwańcowi ścieślią się droga do Moskwy, fortuna uśmiechała się doń, wróżąc ziszeczenie jego śmiałych nadziei. Próżne były wysilenia Borysa, aby w opinii moskiewskiego ludu zdepopularyzować imię Dymitra; napróżno rozsiewał fałszywą pogłoskę, że ów mniemany carewicz jest zbiegłym z jakiegoś monasteru czerńcem, Hryckiem Otrepiewem; próżno słał listy do króla Zygmunta, żądając wydania Samozwańca! Dymitr na czele nielicznej wprawdzie, ale z najbitniejszego rycerstwa polskiego i zbiegłych kozaków złożonej armii podstąpił tymczasem pod Kijów, i w pamiętnym w dziejach Moskwy dniu 23. października 1604 r. przekroczył Dniepr pod tem miastem, zkąd ciągnąc ku północy wstąpił na krwawą drogę, mającą go zaprowadzić do tronu. (D. n.)

J A N M A T E J K O.

Dawniej mawiano o mężach wielkiego natchnienia, o twórcach wielkich dzieł, o sprawcach wielkich czynów: że duch boży na nich spoczął. Dziś poszedł duch boży u bardzo wielu w poniewierkę, i uśmiechnie się może niejeden na takie twierdzenie uśmiechem litościwym i pogardliwym. Uśmiech ten nie zraża nas wszelako od zastosowania tego poetycznego wyrażenia do Matejki.

Widoczne jest w rozwoju unysłowym Matejki, w postępie jego prac, w sile i obfitości jego twórczych pomysłów, władanie tej wyższej nad powszednią zdolność potęgi, którą rozmaicie nazywają: to genialnością, to natchnieniem artystycznym, to nareszcie według dawnego sposobu duchem bożym, który spoczął na artyście. Bądź co bądź, cechuje Matejkę rzeczywiście ta wyższość uzdolnienia, która stawia mężów różnych zawodów na czele postępu w tym zawodzie, do którego należą.

Matejko stanął bezprzecnie dzisiaj na czele naszego postępu w malarstwie.

Jeżeli nie wahalibyśmy się powiedzieć, że duch boży spoczął na Matejce, to śmiało powiedzieć możemy, że spoczął na nim duch narodu.

Zdarzają się chwile, nawet dłuższe peryody, w których naród pewien zdaje się schodzić z ogólnego toru dziejowego; nie wpływa on wtedy czynnie na życie rodzaju ludzkiego. Takie przestanki zdarzają się w każdym zawodzie życia narodowego, a zatem i w sztuce. W tym

właśnie zawodzie stał naród nasz długo na uboczu wobec wielkiego innych narodów postępu, a to tak dalece, że własni nasi rodacy zwątpili o tem, ażebyśmy mogli mieć kiedykolwiek sztukę polską.

Przed kilkoma laty staliśmy w dziedzinie sztuki jeszcze tak daleko za innymi narodami, że pośród nas samych podnosiły się głosy, które nam odmawiały już dla tego samego wszelkiej możności postępu w sztuce, odmawiały nam zdolności do utworzenia własnej szkoły. Zbijano to rozuntowanie rozlicznie, lecz stanowczo zbitym został ten wyrok uprzedzonej krytyki przez czyny. Dziś nie sądzimy, iżby kto śmiał zaprzeczyć, że posiadamy sztukę polską. Nie mógł temu twierdzeniu przyznać słuszności, kto zalicza poezję i muzykę do sztuki. Obecnie wszelako odnieśliśmy w dziedzinie malarstwa zwycięstwo nad zwątpieniem naszych krytyków.

Stoimy dziś wyżej w dziedzinie sztuki, niż na jakimkolwiek innym polu. W polityce i literaturze jest u nas górą miernota.

Dyletantyzm i chęć „robienia kariery“ wyprowadza ludzi na pole działania politycznego, u których zręczność zastępuje miejsce zdolności, interes miejsce prawości. Strąca też takich ludzi z ich stanowiska każdy powiew opinii publicznej, zwracającej się na odmienne tory. Opinia publiczna jest olbrzymem, jednym skinieniem kruszy ona wielkie potęgi, i jednym skinieniem wynosi ludzi z nicości na szczyt sławy i znaczenia.

Ma to miejsce szczególnie w życiu publicznem. „Pen-sum retoryczne“, wygłoszone publicznie przez mowę o młodocianym głosie, powtórzenie lekcji whitej w pamięć na ławach szkolnych, zdobywa takiemu mowcy chwilową wziętość a może i stanowisko polityczne; lecz wkrótce okazuje się, że to nie było niczem, jak tylko popisem abiturienta, który z abiturienta szkolnego staje się wkrótce abiturientem politycznym, t. j. schodzi z widowni politycznej na pole utylitarności, i żyje spoczywając na wawrzynach przedwcześnie uszczkniętych, spożywając spokojnie chleb powszedni.

W literaturze naszej dzierzy ster literackiego ruchu także mierność. Genialne umysły (jeżeli takowe posiadamy) lub mężowie rzeczywiście wielkiej zasługi w umiejętnościach stoją na uboczu od ogólnego ruchu literackiego, i albo oczekują dopiero uznania ze strony narodu, albo syci sławy zamknęli się w zaciszu; może jeden Kraszewski stanowi w tej mierze wyjątek, który budzi ciągle ducha publicznego, czasem nawet w sposób rażący dotkliwsze umysły.

Sztuka jest jedynie dziedziną, gdzie mierność nie pójdzie nigdy górą. Sztuka ma tyle sposobów oddziaływania na ogół, że nawet wbrew najnieprzyjaźniejszym wpływom nie dopuszcza bohaterom swoim ginąć w niepamięci. Popis błyskotny nie zjedna tu poklasku, a schlebianie opinii jest niemal rzeczą niepodobną. Talent i geniusz zdobywają sobie opinię. Zwycięza tu ten, na którym „spoczął duch boży“, podczas gdy w życiu publicznem i literaturze ten, na którym „spoczął duch boży“, późno zjednywa sobie uznanie, a najczęściej podpada on prawu przez poetę trafnie wypowiedzianemu, „że musi zginąć w doczesności to, co ma żyć wiecznie.“

Matejko stał się zdobywcą opinii i zwyciężył najnieprzyjaźniejsze okoliczności, bo polem jego jest sztuka, a siłą jego genialność.

Pouczaćcem i godnem uwagi jest studjum tak potężnego umysłu, jego rozwoju i walk, jego kroczenia z nieprzepartą siłą ku celowi, wytkniętemu przez ową potęgę wyższą nad ludzkie potęgi, która zakreśliła rodzajowi ludzkiemu i narodom prawidła ich życia. Ubolewać nam przychodzi, że sam wzgląd na żyjącego, jeszcze młodego i pełnego siły artystę nie dozwala nam wglądać we wszystkie tajniki jego umysłu; bo ma każdy umysł swoją dumę i wstydlivość, a przedewszystkiem jest ona właściwą genialnym umysłem. Wstydlivość i skromność z jednej, szlachetna duma z drugiej strony nie dozwala im wynurzać się ze wszystkimi wrażeniami i natchnieniami swojemi, a mianowicie z temi, które najdzielniej przyczyniają się do rozwoju ich geniusza.

Ograniczyć się przeto musimy na tem, co nam oko dostrzegacza obcego i z oddalenia się przypatrującego dozwala odkryć, a często tylko odgadnąć. Jeżeli tedy nie odpowiemy w czem wewnętrznemu poczuciu i przeświad-

czeniu artysty, to wybaczy on nam ten usterk i przypisze go raczej gorliwości w zadośćuczynieniu niecierpliwym oczekiwaniom naszych czytelników, a nie pomówi nas o niechęć lub lekceważenie. Domaganie się bowiem powszechne skłoniło nas do pokuszenia się o skreślenie obrazu życia tego artysty, który nas tyloma już utworami swego pędza zachwycał.

Musimy obraz ten zacząć od rysu powtarzającego się we wszystkich biografiach znakomitych ludzi, mianowicie od wczesnego objawiania się talentu artysty.

Przypominają sobie towarzysze młodości Matejki, że w najwcześniejszym już wieku ulubionem jego zajęciem było sumienne kopiowanie rycin ze śpiewów historycznych Niemcewicza. Niechętnem okiem patrzył troskliwy ojciec na to zamiłowanie pacholecia, które mogło w postępkach szkolnych stawiać niejakię przeszkodę.

Winniśmy tu uzupełnić nasz obraz szczegółami, których dokładność po każdym życiorysie wymaga.

Matejko (Jan Aloizy) urodził się d. 30 Lipca 1838. Przekroczył on więc obecnie zaledwie 30 rok życia, ten kres, do którego dawni Rzymianie jeszcze zawsze męczyznę młodzieńcem nazywali. Nie jest i to bez znaczenia dla kierunku, jaki przybrał w sztuce Matejko, że się urodził w Krakowie, a raczej że w tem mieście pamiętek dziejowych młodość przepędził i pierwsze nauki pobierał.

Rodzice jego (ojciec Franciszek Ksawery i matka Karolina z Rozbergów) pragnęli sposobić syna do zawodu, który pewniejsze zdawał się zabezpieczać utrzymanie niż malarstwo. Niechętnie dla tego zezwolił ojciec na to, aby Jan opuścił w czternastym roku życia gimnazjum (św. Anny w Krakowie) i za popędem wrodzonym idąc, udał się do szkoły malarskiej. Według dziwaczego, dotychczas panującego systemu szkolnego, stanowiła szkoła sztuk pięknych część akademii technicznej. Nie dziwna tedy, że dyrektor akademii technicznej doradzał ojcu, aby Jana raczej oddał na naukę do jakiego rzemiosła niż do szkoły malarskiej. Kto bowiem sztukę stawia na równi z rzemiosłem, ten niezawodnie musi ją uznać za najmniej pożyteczne rzemiosło.

Musiał być silny zapal dla sztuki, gdy wpłynął na ojca tak, że pomimo tych odradzań i pomimo własnego wstrętu do poświęcenia syna zawodowi artystycznemu zezwolił przecież na to, aby Jan uczęszczał do szkoły malarstwa. Sposób nauczania jako też postępowanie nauczycieli były dla ucznia raczej zniechęcające niż pojętne, chociaż nie można zaprzeczyć, że metoda, jakiej znany Statler, wówczas profesor malarstwa, używał, była gruntowną. Nie była ona zapewne pojętną dla ucznia, który zaprawił się do rysunku kompozycyjnego przez kopiowanie rycin do śpiewów historycznych Niemcewicza. Rysowanie najpierwej linii jajowatych, następnie pojedynczych części ciała ludzkiego podług odlewów gip-

sowych, dalej antyków, głów, aż do żywego modelu przez pierwszych kilka lat, tłumilo w uczniu wrący zapał do kompozytów. Było to zadawalniającem dla mniej twórczych umysłów, w których może przez to naśladowanie martwych wzorów wyrabiała się zdolność drzemiąca w głębi umysłu. Dla twórczego jednak ducha, jaki ożywił Matejkę, było to tem samym, co dla muzyka, który już próbował nucić lub wygrywać całe dzieła muzyczne, lub wcale tworzyć takowe, nauka skali i gamy a choćby nawet kontrapunktu, lub dla poety nauka gramatyki i stylistyki. Dla miernego budzącego się talentu mogło to być wielką zachętą, gdy po kilku latach rysowania pokawałkowanych części ciał z odlewów, nareszcie z żywych modeli, dozwolono mu malować z przyrody pojedyncze przedmioty, owoce, ptaki itp., od czego dochodził przyszły artysta wreszcie do szczytu malowania głów starców, półpostaci nagich, do których przyczepiano wedle okoliczności nadającą się nazwę.

Cóż wtedy czynił Matejko?

Stosował on się do karności artystycznej szkoły, i niegardziła ta ręka, co kiedyś miała odzierać berło w malarstwie, poziomem ćwiczeniem elementarnem. Umysł jego uczuwał besprzecznie ważność dydaktyczną nauki elementarnej i pedagogiczną ważność wdrażania młodego artysty w karby prawideł, które stanowią jakoby rusztowanie wielkiej świątyni sztuki, mającej mu stanąć kiedyś otworem, jako jednemu z kapłanów, aby przyozdobić swoje przybytki jego dziełami. Ów „duch boży“, który go namaścił na historycznego malarza, natchnął go myślą, że oprócz nauki owej wykonawczej, oprócz władania ołówkiem i pędzlem, trzeba jeszcze artysty: myśli, uczucia i wiedzy. Dla tego chwile wolne od szkolnej pracy poświęcał on nauce, która w każdym

zawodzie jest „nauczycielką życia“ (vitae magistra), nauce historii.

Jako Polak nie mógł on żadnym działem dziejów rodzaju ludzkiego zająć się goręcej jak dziejami ojczyzny. Już jako artysta wychodząc jedynie z kosmopolitycznego stanowiska mógł on w dziejach polskich dopatrzeć wielkiego zasobu przedmiotów wdzięcznych dla historycznego malarza. Jednak serce Polaka musiało zawrzeć najgorętszym zapałem do uwiecznienia tego wielkiego dramatu, jaki nar. przedstawiają dzieje ojczyste, zwłaszcza

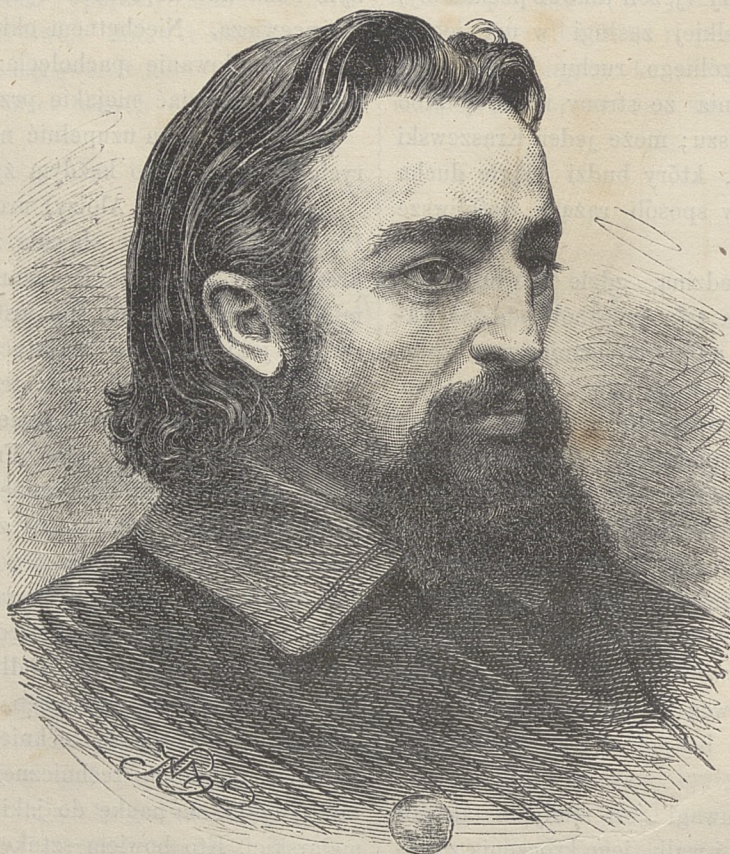
gdy tym Polakiem był artysta, który czuł w sobie powołanie do przyszłego świetnego zawodu.

W szkole wszelako nie poznał się Statler zrazu na talencie młodego ucznia, którego niezbyt ujmujące zachowanie się, tak wobec uczniów jak nauczycieli, nie zjednywało mu bynajmniej wielkiej przychylności, tem bardziej, że krótki wzrok Matejki zdawał się nauczycielowi być bardzo ważną przeszkodą w postępie artystycznym. Dostawało się też Matejce zwykle niekorzystne miejsce przy modelu tak dalece, że nieraz musiał sobie szklami pomagać.

Obok najsumienniejszej pracy i wzorowej pilności w szkole, obok studyów historii ojczystej, o których

wspominaliśmy już pierwej, znalazł Matejko przecież jeszcze w domu dorysować czas na to, aby spróbować sił swoich w kompozycji i malarstwie historycznym. Pierwszem tego usiłowania owocem był obraz przedstawiający ową ważną w dziejach naszych chwilę, kiedy carowie Szujscy stawali jako jeńcy przed królem Zygmuntem III.

Odtąd przestał ojciec Matejki patrzeć nieufnym okiem na prace syna, a nareszcie i w szkole zaczął prof. Łuszczykiewicz, który był następcą Statlera, uznawać w nim mierny talent. Pracując swobodniej już w szkole



JAN MATEJKO. (str. 18.)

brał się Jan coraz gorliwiej do olejnego malowania w domu. Drugą pamiętną z tych prac domowych był mały olejny obrazek, przedstawiający Wjazd Henryka Walezkiego do Krakowa, wykonany w r. 1855.

Odtąd już każdy rok odznaczał się nowymi utworami, które mu zjednywały stopniowo coraz większe uznanie i wzięłość.

Zaraz w następnym 1856 roku powstał obraz, przedstawiający Jagiełłę modlącego się pod Grunwaldem. Obrazek ten lubo w domu wykonany, został przecież przyjęty na wystawę szkolną. Z tego samego roku pochodzi także pierwszy portret Matejki, a mianowicie jestto grupa portretów przedstawiająca rodzinę malarza (ojca, siostrę, młodszego brata i jego samego).

Pierwsze te prace wykonane w domu zjednały przecież Matejce już ze strony nauczycieli uznanie, wskutek czego podjął on po pierwszy raz w szkole wypracowanie kompozycji historycznej i wykończył: Starowolskiego z Karolem Gustawem nad grobem Łokietka. Było to w roku 1857, kiedy Matejko liczył dopiero lat 19. Tenże sam rok wydał na światło dzienne mniejszych rozmiarów obrazek: Stańczyka, owoc pracy domowej. W szkole ułożył Matejko obraz średnich rozmiarów, którego treść wszakże świadczy o wczesnem zajęciu się umysłu jego najpoważniejszymi sprawami życia narodowego. Przedmiot ze siebie nienadający się prawie dla artysty, obchodzący żywiej archeologów, niż ludzi powodujących się uczuciem i wyobraźnią, stał się pod pędem Matejki obrazem pełnym życia i ognia. Mówimy o: Nadaniu przywilejów akademii krakowskiej przez Zygmunta I. Świadczy to o głębokiem pojmowaniu ważności takiego aktu dla dziejów oświaty, że młodociany umysł artysty umiał w tym akcie, tak na pozór zimnym, dopatrzeć owej iskry, z której roznieciło się ognisko umysłowego życia w narodzie. Niechcielibyśmy przypisywać tego brakowi zrozumienia ważnej chwili, którą artysta przedstawił, że obrazu tego nie zakupili właśnie ci, którzy są dziś piastunami owej instytucji przez Zygmunta uświętnionej; nie chcemy pomawiać o złą wolę towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, które wtedy już zajmowało dosyć ważne stanowisko w Krakowie. Przypiszemy raczej brakowi środków materyalnych to, że obraz ten nie został zakupionym, aby go umieścić tam, gdzie miejsce znaleźć

był powinien: w gmachu akademii krakowskiej. Zastąpił artysta sam ten brak, gdy obraz swój darował bibliotece jagiellońskiej, gdzie go podziśdzień oglądać można.

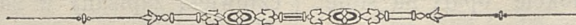
Po takich początkach, które już zapowiadały niepospolitego artystę, otrzymał Matejko stypendyum dla udania się za granicę. Najpierwej tedy udał się do Monachium. Mylnie twierdzili niektórzy jakoby Matejko zostawał tu pod wpływem profesora Pilotego. Bawił on wszystkiego w Monachium 10 do 11 miesięcy, i wykonał obraz przedstawiający Bonę królowę, za który otrzymał brązowy medal jako nagrodę od akademii mnichowskiej. W obrazie tym, wykonanym zresztą w domu nie w szkole, rozróżni każdy, nawet kto nie jest znawcą, że ani sposób traktowania ani koloryt nie jest w niczem zbliżony do Pilotego, że owszem Matejko zdradza już tu swój własny oryginalny tryb malowania. W Mnichowie chorował Matejko ciężko, a ledwie szpital opuścił, już musiał się stawić w Krakowie do popisu wojskowego. Było to w r. 1859. W Krakowie poświęcił się studjom nad ubiorami w Polsce, których liczne ryciny zamieszczał tygodnik ilustrowany warszawski.

Oprócz pobytu w Mnichowie przez 10 miesięcy nie był Matejko w żadnej akademii, w żadnej szkole zagranicznej. Pobyt dwumiesięczny w Wiedniu w r. 1860 za ledwie na wzmiankę zasługuje. W tymże roku postradał ojca. Jakkolwiek cios ten mocno wstrząsł umysłem jego, to jednak zdaje się, jakoby nieszczęście podwoiło w nim siłę. W r. 1861 wykonał on (może po części nawet pod wpływem ostatniego ciosu) „Śmierć Wapowskiego“. Życie współczesne i dzieje, to jedynne wpływy, jakim ulegał Matejko. Co mówią i piszą o wpływach artystów znakomitych albo wzorów jakich na niego, to wszystko okazuje się być czezą mrzonką, której rzeczywistość stanowcze kłamstwo zadaje.

Z wykonaniem większego obrazu, przedstawiającego Jana Kazimierza, kończy się pierwszy okres zawodu artystycznego Matejki, który mu torował drogę do uznania powszechnego.

Odtąd wchodzi życie naszego artystę w drugi okres, gdzie on już staje się mężem publicznym, bo dzieła jego stały się przedmiotem uwagi nie tylko narodu całego, ale i Europy. Odtąd staje się imię Matejki jednym z tych imion, które stanowią epoki w dziejach artystycznego życia narodu.

(Dokoń. nas.)



N I H I L I S T A.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.



u... ot... stanąłem tedy na rozdrożu... Szedłem prowadzony za rękę, a od tego momentu mam iść dalej sam.

Te wyrazy wyrzekł sam do siebie głośno człowiek młody i przystojny. Wyrzekł je chodząc po izbie, a wyrzekłszy stanął i powiódł wzrokiem dokoła, jakby w tem, co izba jego w sobie zawierała, szukać chciał natchnienia.

Była to komnata-warstat, warstat tego rodzaju pracownika, co to za instrumenta do pracy ma książki.

Książek było tyle, że choć furami po nie zajeżdżaj. W ułożeniu ich panował nieład. Walały się kupami po stołach i pod stołami, na półkach i na podłodze, na komodzie, po oknach, na piecu, na stołkach, słowem wszędzie. Na jednym ze stołów, który stał na środku izby przed kanapą, odsunięte na bok książki pozostawiały nieco miejsca wolnego, na którym były przybory do pisania. Przed tem miejscem było miejsce na kanapie do siedzenia. Zresztą wszędzie książki i książki.

Ściany izby ubrane były w lito- i fotografie, przedstawiające kolekcję portretów w rozmaitych formatach znakomości europejskich i pozaeuropejskich, rozwieszonych grupami, złożonemi z poetów, uczonych, reformatorów, mężów stanu, wojowników i artystów. W każdej grupie jeden mąż zajmował miejsce naczelne — niejako prezydował zgromadzeniu wizerunków. I tak pomiędzy poetami miejsce przewodnie zajmował Byron, pod nim zaś pomiędzy innymi widziales Wiktora Hugo, Lamartina, Berangera, Szillera, Goetego, Heinego, Puszkina, Lermontowa i na szarym końcu, Mickiewicza. Grupie uczonych prezydował Hegel — wojowników Napoleon I. z Suwarrowem obok ale niżej — artystów Michał Anioł — mężów stanu Katarzyna II. Najciekawszem było zgrupowanie reformatorów: na czele Chrystus, po prawej stronie Chrystusa Piotr Wielki, po lewej Mazzini, a na wydatnem miejscu po środku Murawiew Wieszatel.

Innych ozdób w tej izbie nie było, tylko książki w nieładzie i portrety ugrupowane. Po nich to powiódł wzrokiem młody człowiek i powtórzył:

— Stańmę tedy na rozdrożu... Cóż dalej?

Usiadł na kanapie, obydwą łokcie oparł na stole, na dłoniach oparł głowę i zamyslił się.

Powieściarskie przywileje pozwalają nam wkraść się w myśli ludzkie i sprawę z nich zdawać. Korzystając z tych przywilejów, zapoznamy się bliżej z bohaterem niniejszej powieści.

Łatwo domyśleć się, że bohater nasz nie jest Polakiem. Polak przecie nie postawiłby obok Chrystusa Piotra Wielkiego, a pod Chrystusem Murawiewa. Chociażby jak najzupełniej wolnym był od tego przesądu, który się „miłością ojczyzny“ nazywa, toć przecie nie byłby wolnym od tego przesądu, który się nazywa „ludzką godnością“. Zresztą sam zdrowy rozsądek przeszkodziłby Polakowi parować tego, co za ludzkość krew przelał, z tym, co krew ludzką przelewał, i wykazałby mu przepaść bezdenną, rozdzielającą cara Piotra i tryumwira rzymskiej Rzeczypospolitej.

Nie, bohater nasz nie był Polakiem.

Nazywał się Pantalejmon Pantalejmonowicz Gagaryszkin, urodzony w mieście gubernialnem Kaługa, z ojca, który był diejstwitielnym sztatskim sowietnikiem, przewodniczącym „ugołownej pałaty“ (kryminalnej izby), właścicielem paru wiosek w kaługskiej gubernii i kawalerem orderów Orła białego, Aleksandra Newskiego, św. Stanisława, św. Włodzimierza i Anny w pętlicy, nie licząc sprzężek za wysługi lat kilku, medali za różne zasługi i jednej gwiazdy.

Był więc nasz bohater dobrego rodu. Wioski oznaczały tak zwane „stołbowoje dworianstwo“ (rodowe szlachectwo), a czyn wysoki i dekoracye, ozdabiające pierś ojca, znamionowały pozycyę społeczną, pełną blasku, który od ojca odbijał na syna.

Pantalejmon Pantalejmonowicz, urodzony w Kałudze z ojca „diejstwitielnaha sztatskaha sowietnika“, był Moskalem na wylot.

Ojciec jego, jako wysoki urzędnik, wysoko się nosił; miał pretensyę do rozumu, odpowiedniego klasie, do której jego czyn należał; a pretensya ta kazała mu za dobre uznawać wszystko, co od rządu pochodziło. Widział w tem myśl wielką, brzemionną w ogromne następstwa, których normą i wiarą było, w jego urzędowem przekonaniu „czinopolożenie“. A innego przekonania nie posiadał. Więc do „czinopolożenia“ odnosił wszystkie reformy i ukazy, wszelkie ustawy i postanowienia, i znajdował je doskonałemi. Nawet zniesienie poddaństwa nie zasmuciło go, dla tego, że bynajmniej nie nadwężyło tego porządku, jakim człowiek, zapisany w siódmej księdze „dworiaństwa“, zdobywa czyn klasy czternastej, jakim z czternastej przechodzi do trzynastej, z trzynastej do dwunastej, z dwunastej do dziesiątej, dziewiątej, ósmej itd. Podziwiał głęboką mądrość rządu, który to przechodzenie zależnem uczynił od szkół, otwartych wyłącznie dla szlachty. Szkoły przedsta-

wiały się mu jako rękojmia dla „czinopolożenia“, z jednej strony odsuwająca od urzędowej drabiny nieszlachtę, z drugiej dla samej szlachty będąca pewnym rodzajem przetaka, przesiewającego same zdrowe, pełne ziarna. Krótko mówiąc, wyobrażał sobie, że szkoły są na to, aby nic nieczystego nie weszło do urzędowej klasy.

I dlatego z wielką ochotą oddał syna do kaługskiego gimnazjum, a gdy gimnazjum skończył, posłał go do Moskwy, do uniwersytetu, zalecając mu jak najusilniej skończenie nauk, a to z powodu „czina“ dziesiątej klasy, który kandydat otrzymuje.

Więc Pantalejmon Pantalejmonowicz przeszedł w Kałudze gimnazjum, przeszedł w Moskwie uniwersytet, zdał egzamen, napisał konkursową rozprawę i dostał dyplom, który mu dawał prawo do rangi dziesiątej klasy i otwierał przed nim na ścieżaj wrota karyery, opierającej się najwyższym szczeblem o stopnie tronu olbrzymiego państwa. Przed Pantalejmonem Pantalejmonowiczem stanęły w perspektywie: feldmarszałkostwo, jeżeliby czuł w sobie ducha wojennego, albo kanclerstwo, jeżeli skłonnościami swojemi pochylałby się bardziej ku zawodowi, zwabiającemu mężów stanu. Miał do wyboru, to lub owo. Była przed nim jeszcze i trzecia droga. Mógł się kazać postrzydz na mnicha, i z dyplomem na kandydata w zanadrzu wyjść na metropolitę jednej z eparchij, na które imperium jest podzielone. Ta ostatnia jednakże karyera nie tak świetnie jak dwie pierwsze się przedstawiała. Feldmarszałek jest jeden, jak car, i kanclerz jeden; to znaczy, zostawszy feldmarszałkiem lub kanclerzem ma się w swoim zawodzie, w całym państwie, od Wisły do Kamczatki, od Czarnego do Białego morza, jednego tylko człowieka wyższego, cara, a równego — żadnego. Metropolitów zaś jest kilku równych, albowiem Piotr Wielki skasował duchowną rangę, odpowiadającą feldmarszałkowskiej i kanclerskiej, podszywając majestat imperatorski powagą patriarchy, to jest, czyniąc się sam głową grecko-rosyjskiego kościoła. Pomijając wszakże to ścieśnienie miłości własnej w stanie duchownym, i stopień metropolity mógłby ambicyi dogodzić jako równy stopniowi jenerała broni. Trzeba być skromnym we względzie widoków osobistych, będąc kapłanem; dla tego Piotr Wielki patriarchat moskiewski skasował i siebie patriarchą zrobił.

Miał więc przed sobą nasz bohater perspektywę daleką, daleką a świetną, chociaż troche księżycową. W Moskwie bowiem słońcem jest imperator, jak tego uczą po szkołach. — „Niech astronomowie dowodzą, że ziemia około słońca krąży; nasze słońce krąży około nas“ — są słowa jednego z krasomowców moskiewskich, którymi witał podróżującą z kochankami Katarzynę Wielką; słowa, których dzieciom na pamięć się uczyć każą. Wszelako i karyera księżycowa, w takim wielkiem państwie jak moskiewskie, nie jest do pogardzenia, chociażby z powody gwiazd, które księżyc obsiadają i to sprawiają, że tłumy się gapią

i pokłony biją. Każdy przytem księżyc używa w swojej sferze prerogatyw słonecznych, z powodu tak zwanego „czinopaczitanja“. Jenerał jest słońcem dla pułkowników, majorów, kapitanów, poruczników, praporszczyków i całego dalszego tłumu; pułkownik jest słońcem dla majorów, kapitanów, etc., major jest słońcem dla kapitanów, poruczników i t. d. aż do praporszczyka, który jest także słońcem, najprzód dla swego dzieńszczyka, którego twarz gra rolę kowadła dla jego pięści, a następnie dla wszystkich niższych „czinów“, mających obowiązek front przed nim robić, czyli mówiąc z moskiewska, „n a w y t i a ż k i“ stawać. Zaczynając więc z dołu, i praporszczyk jest słońcem, tylko malutkiem, ze szczupłą sferą atrakcyi. Sfera kapitańska jest większą, majorska jeszcze większą, itd., itd. aż do feldmarszałka, carskiego alter ego w zawodzie militarnym. W zawodzie cywilnym alter ego cesarskim jest kanclerz państwa. W zawodzie duchownym alter ego nie ma — car własną osobą jest prawosławnym arcykapłanem. Tym sposobem trzy zawody zlewają się w jeden środkowy punkt, a każdy z nich, urządzony według systemu planetarnego, z dołu widziany przedstawia się jako szereg słońc coraz to większych, coraz to potężniejszych i coraz to gwiazdzistych; z góry widziany, przedstawia się jako szereg księżyców, coraz to mniejszych, coraz to słabszych i rozbijających się w końcu w punkciki bez blasku, bez siły, bez woli, bez znaczenia, bez rozumu, bez uczucia, bez ruchu, bez życia, bez przeszłości, bez przyszłości, zwane: „wielkim ruskim narodem“.

Pantalejmon Pantalejmonowicz wiedział o tem wszystkim od dzieciństwa, od ojca zachwyconego doskonałością tego urzędnika, które niebo na ziemię przenosi. Diejstwitielny sztatiski sowitnik tłumaczył te czynności bardzo często, a za każdym razem nie omieszkiwał dodawać:

— To Piotr Aleksiejewicz wszystko tak obmyślił...

Z szacunkiem dla wielkiego cara młodzieniec wstał, przeszedł — jak powiedział wyżej — gimnazjum, przeszedł uniwersytet, dostał dyplom na kandydata, i z dyplomem w kieszeni powiedział do siebie te wyrazy:

— Stanąłem tedy na rozdrożu...

Dlaczego: na rozdrożu? Czyż przed nim droga nie była wytkniętą prosto, jak wystrzelił, klasowemi słupami, co niby wiorstowe, z numerami i drogoskazem, stały wzdłuż bitego gościńca karyery?

Stały — to prawda. Pantalejmonowi Pantalejmonowiczowi nie pozostawało nic innego, tylko się puścić rezolutnie jednym z trzech gościńców i wpatrzywszy się w środkowy punkt, iść ku niemu, nie oglądając się po za siebie.

Cóż więc? To może nad wyborem gościńców głowę sobie łamał?

Eh — nie! Nie to go kłopotalo. Nieszczęście chciało, że natura stworzyła Pantalejmona Pantalejmonowicza roz-

garniętym i ciekawym — i to ciekawym do tego stopnia, że, przyszedłszy do lat młodzieńczych i poczuwszy w duszy zaczął fermentującej myśli, pragnął się o wszystkim dowiedzieć i wszystko, o czym się dowiedział, sprawdzić. Wziął więc pod nóż analizy: przekonania ojca, wykłady profesorów i nauki książek. Słuchał, czytał, porównywał, badał, myślał i rezultaty w umyśle sobie karbował. Ten był powód, dla którego się u niego tyle książek nagromadziło.

Do dziwnych też rezultatów dochodził. Naprzykład:

Kiedy się rozpatrzył w dziejach ludzkości, zrobił to spostrzeżenie, że płynęły one narodami, i każdy naród historyczny miał jakoweś zadanie, które rozwiązywał bytem swoim. Z tego spostrzeżenia wynikło zapytanie:

— Jakież zadanie rozwiązuje Rosya?...

Przebiegał myślą całą historję swojej ojczyzny, zatrzymując się na faktach zwrotowych: na tatarskiej niewoli, na zrzuceniu jarzma hanów, na wojnach, podbojach, i skonstatował byt, wzrost, ogromną potęgę i zapytał:

— Cóż w tej potędze jest? czem ona jest? co, jaką ideę wyobraża?

— Planetarny system... Czinopolożenie...

Nie chciał samemu sobie wierzyć.

— Nie, to być nie może... Nie podobna, aby potęga istniała bez podstawy moralnej, bez jakiejś racji...

Szukał tej racji w młodej krwi — w tej teorii, którą Moskale zbywają natrętników, dopytujących się ich o legitymację postępową. Ta teoria wszakże wydała się mu dowcipną, jako odprawa dla natrętników, lecz niedostateczną, jako odpowiedź przed własnym sumieniem. Stały mu w myśli Stany Zjednoczone.

— Tam młoda krew... nie tu!... — zawołał. — Z młodej krwi tryska idea wolności... Tu zaś, młoda krew, a z niej co?... idea... czinopolożenia...

Stało mu w myśli Byzancium. Odbył przegląd historii Cesarstwa Wschodniego, i znalazł ją równoległą moralnie do historii carstwa rosyjskiego. I tam pestką było „czinopolożenie“. I tam panował system planetarny.

Przechodził w myśli różne teorie traktujące o ustroju społeczeństw i o ustroju państw. Różniły się one pomiędzy sobą, lecz schodziły się w pewnych punktach, uznawanych jako prawda. Jednym z takich był problemat postępu, zajmujący głównie wszystkich, którzy myśleli o celach ludzkościowych. Ten problemat prowadził ich do krytykowania istniejącego ustroju społecznego w różnych państwach, i do podawania projektów pewnych zmian, mających ludzkość wyswobodzić z więzów, które swobodę jej pochodu naprzód krepują. Więc rozpatrywał więzy tu i tam i ówdzie, i znalazł, że żadne z nich pod względem krzepkości nie mogą iść w porównanie z „czinopolożeniem“.

Znalazł, że ustrój moskiewski jest zmorą, która dusi, apiorem, który krew pije, nakrywą, która światło gasi.

Ten wynalazek poprowadził go do wniosku:

— Znieść ten ustrój...

Lecz natychmiast zrodziło się w jego umyśle zapytanie:

— W cóż się Moskwa obróci?...

Znieść ten ustrój znaczy, pozbawić moskiewkie państwo wiązania i narazić je na rozpadnięcie się.

Pantalejmon Pantalejmonowicz był patryotą, wysnuwającym miłość ojczyzny z miłości własnej.

A miłość własna lubi wielkość, potęgę. Więc mu się podobała wielkość i potęga jego ojczyzny, lubował się niemi, i miał za świętokradztwo samo przypuszczenie możliwości uronienia z nich choćby najdrobniejszej cząstki. Wydawało się mu, że wszystko, co Moskwa zdobyła, moskiewskiem jest i moskiewskiem pozostać na zawsze musi. To nie zgadzało się z wnioskiem zniesienia ustroju, będącego warunkiem całości moskiewskiego ogromu.

Co tu począć? jak radzić?

Szukał rady w książkach i we własnym myśleniu.

I książki i własne myślenia mówiły mu o niepodobieństwie pogodzenia sprzeczności. Zniesienie moskiewskiego ustroju wywoływało przed oczy duszy jego widma narodów pokrzywdzonych, widma krwawe, obrzydliwe, sępie, czyhające na śmierć potężnego państwa, aby je szarpać szponami. Pozostawienie rzeczy jak są, przyprowadzało go do rozpaczki niemal.

— Sześćdziesiąt milionów i niemoc!... — wołał i miał ochotę głowę o mur rozbić.

— Sześćdziesiąt milionów?...

— Ha!... — mówił sam do siebie — gdyby te sześćdziesiąt milionów jedno myślały i jednego chciały...

Mogłyby jedno myśleć i jednego chcieć, gdyby to był naród jednolity, rozpoczynający swój żywot; gdyby to było społeczeństwo w stanie pierwotnym, rzeczywiście młode; gdyby było ono białą kartą, na której nikt jeszcze nic nie napisał.

— Nic... o!... nic... — taką była konkluzya badań Pantalejmona Pantalejmonowicza.

„Nic“, z którego Bóg świat stworzył, przedstawiło się mu i jako symbol, tłumaczący początek wszechrzeczy, i jako formuła, streszczająca punkt wychodni nowego ustroju, mogącego ludzkość przeistoczyć.

Ale: jak do tego „nic“ dojść?

— Przez ruiny... — odpowiedział sobie.

I odpowiedziała to samo cała Moskwa. Jej dzieje, jej dążność, jej stanowisko w rzeszy narodów, jej znaczenie polityczne, jej duch, jej charakter, wszystko to dziwnie się nadawało do niweczenia. Nie było za czem żałować. Przeciwnie. Zniweczenie wszystkiego, co jest w warunkach ustroju wewnętrznego i stosunków międzynarodowych, wystąpiło w umyśle młodego człowieka pod postacią wielkiej idei, otoczonej urokiem nowości, miłości i oryginalności... reformatorskiej — wystąpiło ponętnie, pociągająco.

— Potrzeba zaczynać od początku — rzekł sam do siebie — to jest, od niczego... Na początku było słowo, powiada legenda biblijna, i tłumaczy to słowo: nihil...

Niechże więc wszystko ku początkowi się zwróci!... Niech się stanie nihil przez Moskwę!...

I problemat bytu jego ojczyzny stał się dla niego zrozumiałym. Tak dla spekulanta, nie posiadającego własnego funduszu ani złamanego szeląga a czyniącego wielkie obroty, zrozumiałością jest bankructwo, pociągające

za sobą ruinę wszystkich, co z nim w stosunkach byli.

— Kiedy się nie można zdobyć na nic dodatniego, to zdobyć się można na wielką ujemność, na ujemność, która ogarnie ludzkość całą i sprowadzi wszystko do stanu pierwotnego... Moskwa ma na to siły... Moskwa dość jest potężną do wykonania wszechruiny... Byle... Byle... (C. d. n.)



„CZATY“. (Kopia premii do III. rocznika „Strzechy“).

C Z A T Y *).

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą;
Odchyliwszy zasłony, pojrzał w łoże swej żony,
Pojrzał — zadrzał — nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wasy pokręca i duma;
Wzrok od łoża odwrócił, w tył wyloty zarzucił,
I zawołał kozaka Nauma.

*) Premia, którą przy trzecim roczniku „Strzechy“ ofiarujemy Szanownym Abonentom naszym, jest utworem utalentowanego artysty polskiego F. Streita, osnutym na tle powyższej balady naszego nieśmiertelnego wieszcza A. Mickiewicza. Chcąc czytelnikom naszym, nie mającym może pod ręką pism A. Mickiewicza, uwidocznic dokładnie scenę, którą przedstawił artysta, pozwoliliśmy sobie przytoczyć tu w całości tę baladę.

Przyp. Red.

„Hej kozaku! ty chamie! czemu w sadzie przy bramie
Nie ma nocą ni psa, ni pachołka? —
Weź mi torbę borsuczą i janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.“

Wzięli broń, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta;
Na darniowym siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w białiznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy,
I pierś kryła pod rąbek białizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: „Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił!

Ja, choć z takim zapałem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabręczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!

Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twem łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodczyce wysysał!

Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku,
Biegnę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieszczoty! —“

Ona jeszcze nie słucha; on jej szepcze do ucha
Nowe skargi czy nowe zakłęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przykleknęli za krzakiem,
I dobyli z za pasa naboje;
I odcieśli zębami i przybili stęplami
Prochu garść i garnkulek we dwoje.

„Panie! — kozak powiada — jakiś bies mnie napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przechodził,
I stoczyła się łza do panewki.“

„Ciszej — plemię hajducze, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapał a żywo, szczyść paznokciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewczkę.

Wyżej — w prawo — pomału — czekaj mego wystrzału:
Pierwej musi w łeb dostać pan młody —“
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb — wojewody.

K r o n i k a .

Nie nowy to symptom ale pełen znaczenia, i choć do pisma peryodycznego piszemy, opuścić go i milczeniem pokryć niepodobna: — literatura europejska w ogóle, nasza w ślad za nią cała przerasta w dziennikarstwo. Będzieli to z korzyścią czy ze szkodą dla piśmiennictwa, z pożytkiem dla ogółu, czy złem dla niego, przesądzać trudno; nie mniej fakt zapisać należy, a każdemu myślącemu człowiekowi następuje się pytanie, co ten symptom zwiastuje? z czego wynika? — Odpowiedź łatwą nie jest, sięgnąć należy głęboko w naturę ludzką i organizm społeczeństw, aby przyczynę tego zjawiska wy badać. Jest ona wszakże w niewątpliwym związku z telegrafami, z kolejami, z żywotem przyspieszonym w ogóle, w ostatku z wzrostem życia politycznego kosztem innych stron duchowej działalności. Czy będzie lepiej, Bóg tylko wie, któremu wszystkie dane tego zrównania są znane; my możemy powiedzieć jedynie — jest inaczej — i — musiało być, bo jest. Zatem zapiszemy tu metrykę chrztu Dziennika Polskiego we Lwowie, Gminy, Kuryerka; a przypomnimy nowe bierzmowanie Kraju, Kaliny,

Gazety Toruńskiej (która przeszła na ultramontanizm), Przeglądu polskiego, który stał się współpracownikiem Czasu... Omal żeśmy nie zapomnieli o Uni (sic. Unia bowiem jak gunia się czytać musi!?) Unia tedy (nie Unija) silnie występuje w pomoc zastępowi obrońców wiary, legitymizmu, indexu, syllabusu, ścisłej orthodoxii itp. Nie można zaprzeczyć redakcyi talentu i odwagi i — nawet pewnej przyzwoitości — nie powiemy tylko, by przy Czasie, Przeglądzie, po części Toruńskiej, a wreszcie Tygodniku katolickim, potrzeba jeszcze jednego dziennika tej barwy tak bardzo się czuć dawała. Ale — de gustibus non est disputandum — dziwna rzecz, gdy zwolennicy postępu i liberalnych przekonań ludzie po krótkiej próbie dezertują z ostatniej stronicy Kraju, stronnictwo przeciwne na coraz nowe zbiera się organy i gra na nich... z wielką virtuosität jak mówią Niemcy.

Wszystko to do kroniki bieżących godzin zapisać wypadało. Bez uwag idźmy dalej.

Dwa nekrologi należałoby wpisać na kartę wspomnień; dwóch niewiast znacznych i zasłużonych: ks. Gabryeli z Güntherów Puzyninej, i Eleonory Ziemięckiej; oba przychodzą późno, ale na prawdę, oba nietknięte dotąd. Ani talent pierwszej, ani praca drugiej ocenionemi nie zostały... rzucono garść kwiatków na mogiłach. Gabryela Puzynina należy do najwdzięczniejszych spiewaczek litewskich... Głos jej był sympatyczny, miły, serdeczny, forma poezji śpiewna, niekiedy nawet silniejszy rys, głośniejszy wykrzyk wyrwał się z tej piersi, odczuwającej wszystko piękne i dobre, bolejącej nad tem, co czarne i straszne. Wszystkie niemal poezye ks. Puzyninej, z małym bardzo wyjątkiem, są natchnione okolicznościami otaczającymi, nie zbyt wielkich rozmiarów, bardzo udatne i wytworne. Nie mają one wybitnego charakteru innego, nad niewieścią czułość, nad czystość i świeżość kwiatka... Niekiedy dowcipne, uśmiechają się prawdziwie salonowym, pełnym umiarkowania i dobrego smaku charakterem lekkiego humoru... Daleko innego znaczenia i doniosłości większej były prace p. Eleonory Ziemięckiej, dawnej redaktorki Pielgrzyma. Była ona prawie jedyną u nas niewiastą, którą wykształcenie filozoficzne i naukowe stawilo wyżej wielu niby uczonych mężów. Jeżeli się nie mylimy, pierwszym bodźcem dla tego umysłu należycie uorganizowanego z natury, było głębsze nieco poznanie filozofii niemieckiej współczesnej. Studyom nad nią winna była Ziemięcka nabycie siły, metody, spotęgowanie darów swych umysłowych. Czuć w niej aż do końca uczennicę berlińskich mistrzów. Niedługo jednak pozostała im wierną. Dzieła de Maistra, Bonald'a i nowszych filozofów katolickich silnie ją ku sobie pociągnęły. Ze swobodnej myślicielki przeszła na gorącego obrońcę orthodoxyi, uzbrojonej w metodę, tę broń (iglicową) przeciwników. Rozpocząwszy wydawanie Pielgrzyma, potem mnogie dzieła w tym duchu tłumaczone i przerabiane, pozostała do zgonu wierną nowo obranemu kierunkowi. Prace Ziemięckiej ze wszech względów zasługują na chlubną wzmiankę i zaszczytne miejsce w literaturze, chociażbyśmy się z ich duchem i kierunkiem tym nie zawsze zgodzić mieli. Zdumiewającą jest i pracowitość autorki, i jej głębokie obeznanie się ze wszystkim, co w tym przedmiocie gdziekolwiek się ukazało, i żelazna wytrwałość i talent pisarski. Była chwila, gdy ukazanie się tego tak u nas nowego filozoficznego niewieściego zjawiska obudzało nadzwyczajne zajęcie, salon pani Ziemięckiej ściągał mnóstwo i sympatycznych i ciekawych gości. Gospodyni jego czyniła wrażenie głębokie na każdym, była bowiem w istocie znakomitością i w swym rodzaju potęgą. Później zostawiono ją w ciszy i pokoju w gronie szczuplejszem starych przyjaciół... Ostatni A. E. Odyniec odprowadził ją do grobu, a Deotyma rzuciła jej wieniec na mogile.

Szczęśliwej Warszawie pozostały jeszcze dwie gwiazdy niewieście, świecące jasnym blaskiem: Deotyma, wielka i piękna prawdziwie postać, która urosła jeszcze poświęceniem... i Marya Ilnicka, otoczona także aureolą przebołałych losów... Trzecia gwiazdka wschodzi w Kronice rodzinnej pod imieniem Bronisławy (Połujanowskiej), której przeszliczne poezye zwracają wszystkich uwagę.

Tak w chwili najcięższych przesileń mamy jeszcze pociechę wieszczego słowa... której często brak narodom szczęśliwszym...

Ale czy dziś nasze narodowe zaszczyty i sławy umiemy oceniać? to wielkie pytanie. Trzy lata upłynęły podobno od śmierci Michała Wiszniewskiego, autora historii Literatury i Charakterów, nim na króciutki nekrolozek dla niego się zebrano. Nikt nie wiedział, gdzie i jak życie zakończył. Przy grobie Bronisława Trentowskiego, o którego śmierci z niemieckich gazet Mrówka w miesiąc doniosła... nie było z ziomeków nikogo. Obca dłoń rzuciła mu palmę niemiecką, i w mowie cudzoziemskiej pożegnano jedyne może filozofa współczesnego, dla którego nauka była nie dyletanctwem chwil swobodnych, ale całego życia celem. Wiadomo wam zapewne, że dr. Libelt zamierza wydać Pantheon Trentowskiego... Oprócz tego zostały po nim inne rękopisma, między innymi obszerna Theozofia (Bożyca) w pięciu tomach przygotowana do druku. Nie wiem czy chwila po temu, aby ją u nas przyjęto i czytano, całą naszą Theozofię dzisiejszą składają Tygodnik katolicki, Unia, Przegląd i Czas.

O czemś weselszem i nieprzywodzącem na myśl walk, sporów, kłótni, kamieni i błota, trudno chcieć pisać... jesteśmy zajęci tak wewnętrzną wojną domową, iż na nic więcej czasu nie mamy. Oryginalnych dzieł krom dosyć niestrawnych broszur politycznych... ani widać.

Przyniosły nam dzienniki prospekt na Bibliotekę tłumaczonych powieści lwowską... tłumaczy się ich mnogo i w Warszawie... ale kiedy już tłumaczyć chcemy, zaprawdę o czemśby innym pomyśleć należało. Powieści są bardzo ciekawe i miłe, wszakże samemi temi cukierkami żyć nie podobna. Dzieł naukowych i historycznych nam braknie. Wiele z ostatnich form artystycznych czyni tylko ponętnemi, jako dzieła tak zwanej dawniej literatury nadobnej(!) — czemużby nie próbować silniejszego pokarmu dać publice naszej, która może zachorować na diabetes, przekarmiona słodyczami. Francuzi biorą się do przekładów Siebla, Gervinusa, Stuarta Mill'a, Rankego... my nic i nic nie mamy!!

Pisma naukowej treści, choćby w formie popularnej, żadnego... Czas do pracy a my się bawimy! Wprawdzie dzieciom dla zachęcenia do alfabetu dają ilustrowany na początek, ale jużby pora przejść do poważniejszego sylabizowania.

Cieszylśmy się tu wszyscy z przyjęcia Matejki we Lwowie. Z Paryża przyszła nam fotografia jednej z ostatnich prac Artura Grottgera... Jest to pochód na Sybir... przerażający, straszny, odgadnięty wieszczym duchem, obraz pełen prawdy... w który wpatrując się niemal oszalećby można... Ten długi szereg nieszczęśliwych, którym dzieć się urąga i psami ich szczuje... te twarze nasze, te postawy krewne... ten niemy ból męczenników przejmując zgrozą. A takie to spokojne, tak proste... tak bez przesady... a tak wymowne... Chciałbym w chwili zgonu każdemu z katów zawiesić przed oczyma ten obraz... niechby mu się wyrzył na drętwiejącej źrenicy i na stygnącym sercu... Nigdy może Grottger potężniej nie wydał boleści naszych losów i ironii przeznaczeń narodu... który dożył... szczeniactwami i wrogów we własnej braci... a imienia obcych we własnym kraju. Czemuż jest księga Hioba przy księdze naszego męczeństwa... tam człowiek... tu naród cały...

ZE ŚWIATA.

(Do historyi kart.) Kto wynalazł karty do grania? Przyszły one do nas ze wschodu, tak jak gra w szachy; ale pierwotnie nie służyły one na wschodzie do gry, lecz były narzędziem pracy. Mędrcy, którzy śledzili ruchy planet, przedstawiali swoje spostrzeżenia za pomocą pewnych figur na tabliczkach, które mieszały, przerzucali, i wyciągając potem sposobem przypadkowym rozkładali przed sobą, jak dzisiaj kabalarki.

W wieku XII. zaczęto we Włoszech używać tych kart proroczych jako zabawki dla dzieci, i nazywano je Naibi. Karty włoskie składały się wówczas z figur alegorycznych, które przedstawiały muzy, nauki, cnoty i planety, a zarazem wyjaśniały rozmaite stosunki między światem niebieskim i ziemskim i podawały ogólne wiadomości z geografii i z fizyki.

Z początku było pięćdziesiąt takich kart, podzielonych na pięć oddziałów rozmaitej barwy. Figury malowano z największą starannością na złotem tle ozdobionem arabeskami. Do gry dzielono te karty na cztery równe kompanie, których dowódcami były asy. W każdej kompanii było ośmiu żołnierzy numerowanych od 2 do 9, a na ich czele stali: król, królowa, koniuszy i pacholek. Koniuszego zarzucono jednak wkrótce, a natomiast zaprowadzono 10 (dziesiątkę), zatem były karty już wówczas zupełnie tak urządzone jak dzisiaj.

Późniejsze zmiany odnoszą się przeto tylko do nazw i kostiumów, które zresztą nie ulegały wcale chwilowej modzie. Dopiero rewolucya francuzka, która wszystko przewróciła do góry nogami, i nawet kalendarz, monety, miary i wagi zreformowała, zajęła się także kartami. Niezgrabne malowidła średniowieczne zastąpił malarz Dawid pięknymi kompozycjami i draperjami. Królów zastąpiły cztery figury, które miały przedstawiać geniuszów wojny. Cztery damy wyobrażały: wolność ludu, wiary, małżeństwa i prasy; nakoniec czterech chłopców zastąpiono czterema postaciami męzkimi w stroju napół wojskowym napół cywilnym; przedstawiały one równość stopnia, praw, obowiązków i barw.

Za rządów Napoleona wrócono jak do dawnego kalendarza także i do dawnych kart.

Niesłusznie też przypisują jakiemuś szlachecowi z XIII. wieku, imieniem Aleksander Karol de Harlay, wynalezienie kart do grania, gdyż jest rzeczą dowiedzioną, że używano ich już napół wieku przedtem. Zresztą już w XIV. wieku zakazaną była gra w karty prawie we wszystkich państwach europejskich edyktami królewskimi jako rzecz niemoralna.

Podług innej jeszcze wersji zostały karty wynalezione, ażeby sprawić rozrywkę choremu na ciele i umyśle Karolowi VI.; ale i to podanie jest równie mylne jak powyższe. Bawiono raczej tego nieszczęśliwego króla kartami włoskimi lub hiszpańskimi, w które grano nieco odmiennie. Ulubione na dworze francuskim kadryle i turnieje podały myśl do urządzenia gry w pikietę. Te kadryle reprezentowały rozmaite klasy społeczeństwa, jako ciągle będące z sobą walce.

Coeur (czerwień) było symbolem duchowieństwa, Treff (żołędź) szlachty, Carreau (dzwonka) mieszczaństwa, a Pique (wino) ludu; również miało Coeur znaczenie cnót, Treff — potęgi, Carreau — pracy, a Pique — nędzy.

Coeur wyobrażało wszystko dobre i szlachetne, oznaczało mądrość, miłość, prawość. Treff było godłem udzielności, Carreau — handlu i przemysłu, Pique — prostactwa i podległości.

Wszyscy cokolwiek sławniejsi królowie byli chrześnymi ojcami królów karcianych; dopiero po długim przebieraniu zdecydowano się wziąć każdego z czterech królów z jakiegoś wielkiego narodu. Karol Wielki był królem Francuzów, Aleksander królem Greków, Cezar królem Rzymian, a Dawid królem Żydów. Wybór ten odpowiadał — jak widzimy — owym czasom. Karol Wielki miał obok siebie jako królową Hildęgardę, z którą był zaślubiony. Persyanka Roksana stała obok Aleksandra; Cezar miał Kleopatę, a Dawid Judytę.

Również odpowiednim był wybór co do waletów (chłopców, niżników). Karolowi Wielkiemu zamiast Lahira usługiwał palatyn Roland; waletem Aleksandra był Perdiccas; za Cezarem postępował Crassus, stary kolega jego w tryumwiracie; a Dawidowi służył rodak jego Józef, minister egipskiego Faraona.

Na tych szczegółach kończy się, przynajmniej w ogólności, historia kart do grania.

(Życie ludzkie za jedną perłę.) Duch czasu występuje przeciw zbytkom; w Ameryce wchodzą już kobiety na trybunę w ubiorze męzkim, i miewają długie a częstokroć nawet dość skandaliczne mowy za uproszczeniem kostiumu; ale mimo to wszystko nie ma widoku, by ludzkość, a szczególnie piękniejsza jej połowa, wyrzekła się zbytku.

Ileżto miliardów idzie co roku na klejnoty, brylanty i perły jedynie dla dogodzenia próżności! A ileżto cierpień można by ukoić, ile łez otrzeć temi pieniędzmi! Miejmy nadzieję, że powszechne zwiększanie się podatków, że drożejące z każdym dniem potrzeby życia przyczynią się choć w części do położenia tamy marnotrawstwu.

Tymczasem podajemy tu krótkie opisanie połowu pereł, z którego się okaże, że nawet dobywanie tej maluczkiej, tak wielce pożądanej błyskotki nie dzieje się bez niebezpieczeństwa i bez ofiary ludzkiego życia. Mówiliśmy niedawno o bursie dyamentów; to co powiemy teraz, może posłużyć jako dodatek.

Miasteczko Tulocorin słynie z połowu pereł i znajdujących się tam na dnie morza ławic; wszelako poławiane bywają perły także koło wyspy Ceylon i u przylądka Comorin.

Poławiacze pereł spuszczaają się częstokroć przy znacznej głębokości na dno morza, narażając się na to, że mogą zginąć z uduszenia lub stać się pastwą pierwszego lepszego potworu morskiego. Najbiedniejsza klasa ludzi, tak zwani paryasy indyjscy, przeznaczeni są do tej roboty, która zresztą odbywać się może tylko przy spokojnych wodach. Nim się zanurzają, używają różnych zabobonów, ażeby się uchronić od niebezpieczeństwa; wzywają opieki swoich amuletów, robią kabalistyczne znaki na ciele, i wtedy zdaje im się, że są już zupełnie bezpieczni.

Nie każda pora jest pomyślną dla połowu pereł. Gdy jednak nadejdzie czas właściwy, ciągną ze wszech stron tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, między którymi znajduje się kilkuset nurków, i ci udają się natychmiast na oznaczone miejsce.

Każdy z nich rozbija swój namiot lub buduje sobie chatę z liści, w której mieszka przez czas połowu. Na dany znak rzucają się nurkowie uwiązani na linie w wodę, trzymając w ręku kosz obciążony dużym kamieniem. Stanąwszy na dnie morza przeszukują skały lub piasek przyrządzonym umyślnie na ten cel nożem, odcinają nim muszle perłowe i rzucają do kosza. Gdy kosz już pełny, lub gdy nie mogą dłużej wytrzymać pod wodą, dają znać szarpnięciem liny, i wtedy wyciągają ich na wierzch.

Nieraz jest woda tak przezroczystą, że z łodzi, która ich obserwuje, można ich widzieć dokładnie na dnie morza. Zdarza się jednak także, iż haj pochwyty nieszczęśliwego nurka i poźre go, a wtedy zaczerwieni się woda krwią dookoła.

Gdy zaś powróci szczęśliwie na wierzch, składają muszle perłowe w piasku i zostawiają tak długo, dopokąd słońce ich nieotworzy, poczem szukają w nich pereł. Wydobyte perły płuczą natychmiast, dzielą podług wielkości i sprzedają potem handlarzom, którzy spieszą tam ze wszystkich okolic Indyi. Całkiem drobne perły sprzedają jako ziarenka perłowe, inne szacują podług wielkości. Perły wielkości orzecha płacą po 100 talarów, a czasem dochodzi ich cena i do 200 talarów w miarę ich wody i białości.

Każdy taki półow opłaca się zawsze życiem kilku ludzi. Jednych pożerają potwory morskie, drudzy giną w wodzie z uduszenia lub umierają powróciwszy na ląd, ale to nie odstrasza tych nędzarzy od tego niebezpiecznego zarobku. Również mało obchodzi to próżność i żądę błyszczenia niewiast, czy perła, którą zdobiją pierś swoją, została okupiona życiem ludzkim czy nie. Bo i cóż zresztą byłyby warte wszelkie zamówienia nasze, gdybyśmy chcieli dochodzić źródła każdej rzeczy?

(Największą bryłę złota), jaką kiedykolwiek wydobyto z kopalń kalifornijskich, znaleziono w Downieville w okręgu Sierry. Bryłka ta ważyła 106 funtów i dała czystego złota wartości 25.000 dolarów. W tem samym miejscu znaleziono 367 uncji złota w bryłkach od 20 do 75 uncji, i kupę złotego piasku, ważącą 1180 uncji, razem wartości 52.000 dolarów, co wszystko znalazło dwóch ludzi w jednym dniu. Szczęśliwym właścicielem tej kopalni, którą nazwano miną monumentalną, jest niejaki William Larisch.

(Skarby śmiećiska.) Kto jest pierwszym współpracownikiem i ostatnim czytelnikiem dzienników? — Gałganiarz. On dostarcza materiału na papier, a gdy tenże stał się już dziennikiem, jego ręka jest ostatnią, przez którą przechodzi.

U nas niema formalnej kasty, osobnego stanu gałganiarzy, jaki istnieje w Paryżu, gdzie gałganairz odgrywa rolę w wielkich dramatach ludowych, gdzie jego rodzina, jego koleje losu stały się przedmiotem najciekawszych tragedji i romansów. Zawód gałganiarza nie znalazł u nas jeszcze swojego poety i zapewne go nie znajdzie.

Czytelnicy słyszeli pewno o wielkim dramacie ludowym: „Gałganiarz paryski“. Niejeden z tych nocnych wędrowców stolicy nadsekwańskiej miał rzeczywiście szczęśliwsze dnie w życiu, i tylko pod ciosami losu lub z własnej winy upadł tak nisko; jest też wiele tragiczności w życiu takich gałganiarzy, i nawet gdy z koszem na plecach a haczkim i latarnią w ręku

odbywają swoje nocne wędrówki, znachodzą na śmiećiskach ślady niejednej katastrofy familijnej, które osładzają im własną ich nędzę.

W Paryżu jest w ogóle do 4000 gałganiarzy, i to każdy za wyraźną koncesją prefektury policyi. Dawniej należała do nich cała noc, ale od r. 1830 ograniczono ich czynność tylko na pewne godziny w nocy i zrana. Każdy gałganiarz z profesyi musi mieć na piersiach miedziany medal, które daje mu policya. Na jednej stronie tego medalu wryty jest jego znak, na drugiej znajduje się jego numer, nazwisko, a nawet przezwisko, jeżeli takowe posiada. Również jego otwarty kosz musi być oznaczony numerem rejestru. Po północy nieśmie już żaden z nich pokazać się na ulicy, a zrana nie może przed piątą rozpoczynać swojej czynności. Żadnemu też niewolno teraz wodzić psa ze sobą, jak to dawniej bywało.

To ograniczenie czasu roboty zmusza gałganiarzy, mieszczących w ogóle daleko za rogatkami, przepędzać czas od północy do rana po szynkowniach. W tym celu rozprószają się na wszystkie strony, ale zbierają się w pewnych knajpach, które stanowią główne ich kwatery. Ale i tu istnieje różnica dostojęństwa. Gałganiarz z koszem patrzy z góry na tych, którzy mają tylko wór na plecach i stanowią przeto proletaryat tego stanu. Gdy wreszcie uderzy piąta, wyruszają znów wszyscy, by szukać zarobku w tem, co Paryż wyrzuca na ulicę jako niemające już żadnej dlań wartości.

Ale jeszcze inna różnica istnieje pomiędzy tymi ludźmi. Są gałganiarze miejscowi i tak zwani bieguny. Pierwsi oczekują swojego śmiećiska w pewnym kącie, gdyż zawierają kontrakt z właścicielami domów, ażeby niewyrzucali śmiecia swego na ulicę, dopokąd oni go nie przeszukają. Ci arystokraci gałganiarstwa zarabiają w przecięciu 4 do 5 franków dziennie, ale dochód ten kosztuje nieraz wiele pracy i potu. Biegun zaś ograniczony jest tylko na przypadek, ale mimo to zarabia dziennie 3 do 3½ franków. Dla obudwu jest naturalnie wszystko pożądanem, co tylko da się zużytkować; słoma, papier, żelaziwo, szkło, stary chleb, muszle ostrygowe, łupina z pomarańczy — wszystko to idzie do ich kosza lub worka, a po nich przyjeżdża wózek, który resztę wywozi za miasto.

Ten wózek wywołał raz w r. 1832 formalną rewolucję między gałganiarzami. Do owego czasu zajmowało się miasto samo sprawą czyszczenia ulic, łożąc na to rocznie 1,200,000 franków. W wspomnionym roku powzięto myśl wydzierżawienia tej czynności pewnemu przedsiębiorcy, który ofiarował się płacić za to rocznie 850,000 franków, zastrzegając sobie to tylko, by mu wolno było zabierać część śmiecia zaraz z wieczora. Spekulant ten miał dobre wyrachowanie; chciał sam korzystać z tego śmiecia wprzód, nim mogli przyjeść gałganiarze, których zarobek więc był przeto zagrożony.

Najzupełniejsze powstanie gałganiarzy było skutkiem tego; całe ich bandy napadały wozy dzierżawcy, rozbijały koła, wyprzeżały konie. Tak się działo przez kilka nocy, aż w końcu musiano dla przywrócenia spokojności unieważnić kontrakt.

Każdy gałganiarz ma swojego kupca, któremu płon swój sprzedaje. Wszystko ma swoją pewną cenę, nawet to, co w oczach naszych niema już żadnej wartości; i niewiedząc o tem, płacimy sami jeszcze raz za to, cośmy wyrzucili.

Dowiedz się czytelniku, co wyrabiają z tego śmiecia: Potłuczone naczynie stołowe i muszle ostrygowe dają cement; z lepszych kości wyrabiają guziki, ręczki do nożów itp. Żelaziu topią nanowo. Stara skóra, palona w piecu, w którym znajdują się brzozy, nadaje tymże piękny kolor złocisto-brunatny. Lupina z pomarańczy idzie do destylatora, który robi z niej Curacao. Stary chleb, utłuczony na mąkę, daje nowy artykuł pożywienia i sprzedawanym bywa na zupeł. Potłuczone szkło topią nanowo i wyrabiają z niego zielone butelki. Szmaty bywają jak najstarszemu przebiegane, wszystkie mają swoje szczególną wartość, używane po największej części jako materiały na papier; i łatwo przeto być może, że na tym samym materiale, na którym pisałeś twój pierwszy list miłośny, piszesz później twój rachunek lub wydatki gospodarskie.

Ale bardziej jeszcze, niż to wszystko, zadziwi cię wiadomość, że w najnowszych czasach zaczęto w Ameryce wyrabiać nawet spirytus ze śmiecia i wszelkiego rodzaju plugastwa. Fabrykacja jest całkiem pojedynczą: gotują śmiecie w kotle przez 6 godzin, zbierają z wierzchu tłuszcz, bardzo przydatny do wyrabiania mydła, a z reszty płynu uzyskują przez fermentację i destylację najczystszy alkohol. Jedna fura śmiecia (10 beczek) daje w przecięciu 30 funtów tłuszczu mydlarskiego i 40 galonów spirytusu mocy 90%. Proszę wyobrazić sobie, jakie to skarby mieszczą w sobie śmieciiska wielkiego miasta!!

Utrzymują, i to słusznie pono, że zawód galganiarzy staje się z każdym rokiem korzystniejszym. Da się to wytłumaczyć; świat nie staje się oszczędniejszym, lecz coraz większym marnotrawcą. Co nasi przodkowie szanowali, wyrzucamy to dzisiaj; rzeczy drobne i niepokazne tracą coraz więcej na wartości; ale przemysł z swoją niezmierną twórczością wysysa pożytek z najdrobniejszych rzeczy, i przy ciągłych postępach chemii nie ginie nawet najlichszy galganek.

I zaprawdę niema już dziś na świecie nic takiego, coby było bez wartości, chyba nasze przesady, które i galganiarzowi nie zdadzą się na nic.

(Jajka wielkanocne.) Zwyczaj dawania jajek wielkanocnych pochodzi ze Wschodu. Jajko odgrywa ważną rolę w czynnościach symbolicznych, z których po większej części składa się religia ludów wschodnich. Jajko jest tam symbolem chaosu czyli pierwiastkowego stanu wszechświata, a lepiej początku twórczego, z którego powstało wszystko istniejące w przestworzu tegoż świata. Na Wschodzie jest zwyczaj rozdawania jajek w dzień Nowego Roku. Obecnie jeszcze w Persyi, gdzie dzień ten jest jedynym świętem cywilnym, jakie ten naród obchodzi, zwyczaj ten jest używany ze szczególniejszą uroczystością; pierwszy dzień roku przypada tam mniej więcej w czasie, kiedy my obchodzimy święto Zmartwychwstania.

Sultan Seladim I. ustanowił kalendarz (uważany przez niektórych jako lepszy od Gregorjańskiego) i w tymże oznaczył dzień zmiany roku słonecznego, czyli Nowy Rok, na dzień samego przesilenia dnia z nocą.

Wieczorem ogłaszają ludowi święto wystrzałami z armat i ręcznej broni. Astrologowie uroczystie przystrojoni udają się do palacu króla lub też do rządu prowincyi, w której się znajdują, na parę godzin przed porównaniem dnia z nocą

dla obserwowania chwili stanowczej. Za danym znakiem przez astrologów rozlegają się salwy wystrzałów, i ze wszystkich stron muzyka wygrywa najpiękniejsze melode. Święto zaczyna się wówczas, i bywa uroczysto obchodzone również przez najbogatszych jak i najbiedniejszych.

W Ispahanie grają orkiestry przez całe ośm dni trwania świąt i odbywają się różne zabawy, tańce i widowiska.

Persowie między różnemi nazwiskami, jakie dają tym świętom, nazywają je także świętami nowej odzieży — ponieważ najbiedniejszy nawet człowiek ubiera się w nowe suknie; bogaci kładą na siebie przez 8 dni trwania świąt bogate ubrania, każdego dnia nowe i odmienne.

Od rana do wieczora przesyłają sobie nawzajem podarunki, a szczególnie jajka malowane i złocone. Niektóre z tych jajek są tak kosztowne, że płacą za nie od trzech do czterech sztuk złota; król rozdaje tychże od pięciu do sześciu set w swoim kraju. Po większej części jajka te są złocone i mają z czterech stron malowane symboliczne figury, lub też miniaturowe wizerunki różnych osób.

Podczas tych świąt, stosownie do nieodmiennego zwyczaju Wschodu, podwładni dają podarki przełożonym a biedni bogatszym.

Jajko, jako symbol ogólnych zasad świata, wywierało zawsze ważny wpływ na pojęcia wszystkich narodów. W Rzymie z pewnym rodzajem nabożnego przesądu podawano jajko przy rozpoczęciu uczty. Odtąd też poszło przysłowie rzymskie: *ab ovo usque ad mala*, od jajka aż do jabłek, od początku aż do końca. Nadmienię tutaj, że Rzymianie nazywali jabłko *malum*, to jest złe, zapewne na pamiątkę pierwszego grzechu, do którego jabłko było powodem i przynętą.

W Londynie znajduje się obraz indyjski szczególnie ciekawy, przedstawiający stworzenie świata: Stwórca ma przed sobą jajko z boku otworzone, w którym widać żyjące istoty; na skorupie odlupanej tego jajka stoi człowiek tylko co utworzony; umieszczony on jest między początkiem dobrego i złego — z drugiej bowiem strony stoi djabeł w postaci człowieka z rogami, zupełnie jak go malują malarze chrześcijańscy. Zwyczaj tłuczenia jajka i zjadania kawałka skorupy, jest przywiązany do podania zabobonnego. W średnich wiekach używano tego sposobu jako środka dla uniknienia złośliwości czarowników; lupina bowiem z jajka, ofiarowanego w dzień Nowego Roku lub Wielkanocy, służyła tymże do kreślenia symbolicznych linii potrzebnych do zaklęć szatańskich.

W niektórych krajach jajka wielkanocne są bardzo bogato ozdorbione. Często nawet nie są one prawdziwemi jajkami, lecz wyrabiane z drogich metalów, srebra, złota, ozdabiane kosztownymi kamieniami i emaliami kolorowemi; wewnątrz tychże znajdują się często rozmaite figle jubilerskiej sztuki, a cena takowych nieraz do znacznych sum dochodzi.

Pan Monier, autor dzieła po tytule: *Traité de l'origine des traditions* dowodzi, że zwyczaj jajek wielkanocnych sięga czasów Fenicyan, którzy czcili Boga pod postacią jaja. Według mniemania tychże noc, początek wszystkich rzeczy, zapłodniła jaje, z którego powstał ród ludzki. Około Wielkanocy słońce przychodzi pod równik, pozbywszy się

długich nocy — jako pierwotne tłucze się, ród ludzki się odradza.

Święto Wielkanocy, czyli Pascha, naznaczone było przez Apostołów jako najważniejsze i najuroczystsze w religii chrześcijańskiej.

W drugim wieku po Chrystusie nastąpiła różnica co do czasu obchodzenia tychże świąt w różnych kościołach, na jakie kościół Chrystusa został podzielony.

Kościół wschodni, którego początek był w Azji mniejszej, obchodził takowe dnia czternastego po pełni marcowej. Kościół rzymski czyli zachodni świętował w pierwszą niedzielę po pełni marcowej. Po różnych sporach między dygnitarzami kościoła chrześcijańskiego, sobór w Nicei w 325 r. wydał co do obchodu Paschy stanowczą decyzję.

Pascha znaczy właściwie przejście. Uroczystość ta pierwotkowo ustanowioną była przez Mojżesza na pamiątkę przejścia anioła, który wytepił pierworodnych synów Egipcyan.

(Targowica dziewcząt.) Ileżto nie nakłopotą się nieraz zamożniejsi nawet rodzice swoją córeczką, jeżeli doszedłszy już do stanu rozkwitu oczekuje nieboga napróżno miłośnika swojej kraszy i woni. Lud rumuński w Siedmiogrodzie pozbywa się tego kłopotu wcale łatwym sposobem. Mianowicie na zachodniem pogorzu tamtejszem istnieje do dziś dnia jeszcze dawny zwyczaj odbywania targów na dziewczęta, będące już na wydaniu. W tym roku odbył się taki targ — jak donoszą dzienniki — w dniach 11. i 12. września w Kaliniaszy. Na taki targ zbiera się z okolicznych wsi bardzo wiele ludu. Ojcowie przywożą z sobą córki, a z nimi także całą ich wyprawę. Przybywszy na targowicę, wołają obdarzeni córkami ojcowie głośno i dobitnie: „Mam córkę na wydaniu! Kto ma syna na ożenieniu?“ Na to wezwanie zgłaszają się konkurenci, następują targi, i kończą się zwykle z zadowoleniem obudwu stron przy kieliszku. Nie jestże to sposób wcale praktyczny? Prawda, że nosi on na sobie cechę barbarzyństwa; ale czyż nie dzieje się podobnie w tak zwanym świecie cywilizowanym, z tą tylko różnicą, że nie jawnie na targowicy, lecz w cichości — przy biurku szanownego papy?

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ

Z ROKU 1868—69.

Niespodzianka. Zbiór powiastek. Warszawa 1869. 1 zlr. 82 ct.
 Nowiny 1867—8. Lwów. 5 zlr.
 Narkiewicz-Jodko dr. O operacjach zaciemka. Warsz. 1869. 54 ct.
 Narkiewicz. Opis trzech operacji powiek. Warsz. 1869. 28 ct.
 Organisation des poln. Aufstandes 1863. Berlin 1868. 10 sgr.
 Oryl. Komedya. Bydgoszcz 1869. 7½ sgr.
 Oczapowski J. B. Celniejsi pisarze umiejętności skarbowej. Warszawa 1868. 98 ct.
 Ostrow M. Bauernkrieg 1846 in Galizien. Wien 1869. 1 zlr.
 Ostrzeżenie duchowieństwa przez kapłanów na emigracyi. Zurich 1869.
 Przeddzieki A. Jagiellonki polskie 3. 4. Kraków 1868.
 Pol W. Losy poczciwej rodziny. Kraków 1869. 1 zł.

Pawłowski J. N. Dr. Adalbert, Apostel der Preussen etc. 1868. 13¼ sgr.
 Podręcznik leśnictwa. Poznań 1869. 1 zł. 80 ct.
 Pruszkowa A. Poezye. Warszawa 1869. 1 zł. 93 ct.
 Przewodnik zabaw. Warszawa. 1898. 74 ct.
 Pogląd na metody nauki czytania. 70 ct.
 Rys hodowania zwierząt domowych. Kraków 1869. 10 ct.
 Rzepecki L. Dwa listy do Lombdy o pisowni ks. Malinowskiego. Poznań 1868. 20 ct.
 Rocznik Towarzystwa nauk. krak. XXXVII. Kraków 1868. 3 zł.
 Rendschmidt F. Książka do czytania. Wrocław 1868.
 Smolka F. Wniosek i mowy na sejmie. Lwów 1868. 50 ct.
 Szczepański A. Artur Grottger. Kraków 1868. 50 ct.
 Stachurski P. Uwagi nad tłumaczeniem latopisu Nestora. Lwów 1869. 50 ct.
 Sprawozdanie komisji fizyograficznej. II. Kraków 1868. 4 zł.
 Skiba. Teorya zjawisk włoskowatości. Kraków 1869. 75 ct.
 Soldraczyński J. Wskazówki dla gospodarzy wiejskich. Kraków 1869.
 Sikorski T. Gramatyka języka niemieck. Warszawa 1868. 1 zł. 22 ct.
 Sztuka bawienia dzieci podług Froebła. Warszawa 1868. 74 ct.
 Skałga P. Kazania sejmowe. Poznań 1869. 10 sgr.
 Schmitt A. Panowanie Stanisława Augusta I. Lwów 1869.
 Scholl A. Nowe tajemnice Paryża. Warszawa 1869.
 Szyjewski W. Kazania przygodne. Kraków 1868. 1 zł.
 Szumski T. Ludzie dobrych chęci. Lwów 1868. 1 zł. 20 ct.
 Suersen W. Poradnik pielęgnowania zębów i ust (tł. Scheller). Warszawa 1868. 96 ct.
 Szajnocha K. Szkice historyczne. IV. Lwów 1869. 2 zł. 20 ct.
 Tkactwo. Sztuka wychowania, bawienia dzieci podług Froebła. Warszawa 1868.
 Tatomir L. Geografia ogólna i statystyka dawnej Polski. Krak. 1868. 2 zł. 50 ct.
 Tyc K. Rolnictwo wobec postępu. Poznań 1868. 20 sgr.
 Toszka J. A. Ueber den Satz des Polnischen etc. Leipzig 1868. 40 ct.
 Turski J. K. Rozjemca po ukazie. Toruń 1868. 10 sgr.
 Uzdowski G. O leczeniu wodą. Warszawa 1868.
 Ustawa z 5. Grudnia 1868. Sposób spełnienia służby wojskowej. Lwów 1869. 10 ct.
 Verba veritatis. Słowo Podolanina do współbraci. Kijów 1868. 2 zł. 32 ct.
 Wisłocki W. Nauka języka polskiego w szkołach przed Kopczyńskim. Lwów 1868.
 Wieczor L. S. Euripides, nieprzyjaciół kobiet. Warszawa 1868.
 Wieczor L. S. Parmenides, filozof z Elei.
 Wurtz A. Wykład filozofii chem. tł. Kosmowski. Warszawa 1868. 1 zł. 35 ct.
 Wermiński F. O lampach do domowego użytku. Warszawa 1868. 1 zł. 16 ct.
 Wolf A. Uwagi nad fizyologią żółci. Warszawa 1868. 54 ct.
 Wejchert E. O znaczeniu Bastiata, Careya i Supińskiego. Warszawa 1868. 1 zł. 35 ct.
 Widman K. Franciszek Smolka. Lwów 1868. 50 ct.
 Warnka. De ducis Mich. Glinscii.. rebellione. Berolini 1863. 12 sgr.
 Woroniec J. P. Sybilla. Lwów 1869. 19 ct.
 Wilkońska P. Dziedzic Orłowa. Toruń 1868. 1 zł. 20 ct.
 Wilkońska P. Wnuk. Toruń 1868. 90 ct.
 Wodziński K. Zapiski ornitologiczne. Wróbel. Kraków 1869.
 Wianek powieści.
 Zan D. Drzewo wisielca. Poznań 1868. 10 sgr.
 Zagórzański J. Psychologia empiryczna. Rzeszów 1869. 30 ct.

HUMORESKA.



- A — Pan Ernest także w kontuszu chodziłeś?
— Tak — to było za życia stryja Mieczysława.
— A, pana Mieczysława, bardzo gorliwego patrioty, po którym pan tę wioskę odziedziczyłeś.
— Tego samego.
— Teraz rozumiem pana

Sz ar a d y :

I.

Pierwsza z czwartą ważną rolę
Grywa przy zielonym stole,
Druga z czwartą gdy jest w parze,
Koniec drogi ci pokaże.
Trzecia w bardzo małej mierze
Wspomina coś o literze;
Wszystko białe ma pokrycie,
Ciche w murach wie dzie życie.

II.

Pierwsza z trzecią, każdy przyzna,
Jest włoszczyzna;
Druga z trzecią zwykle bywa
Wierchem drzewa,
Wszystko jest enotą, która zniewala
I dziwnie dusze udoskonala.

Rozwiązanie rebusu w XIII. zeszytcie zeszłego rocznika:
Lepsza psu mucha — niż kijem po za ucha.

**W następnych zeszytach przyniesie „Strzecha“ prześliczne oryginalne ryciny
J. Matejki i J. Kossaka.**